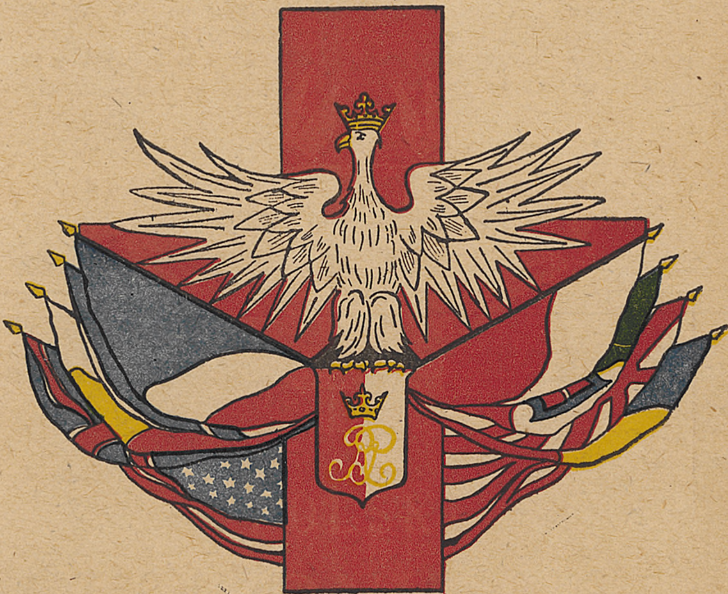
POLSKI CZERWONY KRZYŻ

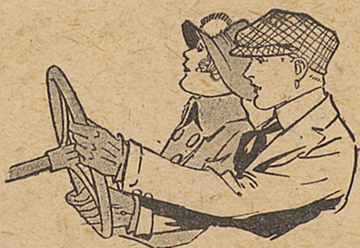
ROK I. № 3—4.



WYDAWNICTWO WARSZAWSKIEGO
OKRĘGU P. C. K.

CENA 2 zł.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.



CENA 2 zł. SIERPIEŃ — WRZESIEŃ 1925. № 3—4.

POLSKI CZERWONY KRZYŻ

WYDAWNICTWO P. C. K. W WARSZAWIE.

KOMITET REDAKCYJNY:

Gen. Dyw. Władysław Wejtko — Przewodniczący.
Ppłk. Dr. Zygmunt Rażniewski.
Pani Anna Roszkowska.—Dr. Karol Wachtl, Sekretarz i Redaktor.

PRENUMERATA: roczna wraz z przesyłką — 12. zł.

OGŁOSZENIA: 1 strona 200 zł., pół str. 120 zł., ćwierć str. 70 zł., jedna ósma str. 40 zł. Na okładce: str. 2-ga i 3-cia po 250 zł., str. 4-ta 300 zł.

Wszełkie Komunikaty, Zlecenia, Korespodencje, Ogłoszenia adresować należy:

Polski Czerwony Krzyż—Warszawa,—ul. Mazowiecka № 9.

Dla Redakcji miesięcznika Polski Czerwony Krzyż

ZAKŁADY WYDAWNICZE I DRUKARSKIE „LECHJA"
WARSZAWA, ZIELNA 47.

TREŚĆ № 3—4.

Juljusz Słowacki. — Leci już.. 5

SPRAWY CZERWONEGO KRZYŻA:

L. E. Giełgud. — Liga Czerwonych Krzyży 6

Sprawozdanie z Kongresu Towarzystw Czerwonych Krzyży, odbytego we Wiedniu w czasie od 11—15 maja 1925 r. 9

Składkowski.—Cz. Krzyż, jako znak neutralności Samolotów San. 11

Wł. Wejtko. — Czerwony Krzyż a Wojna 15

WIEDZA i ŻYCIE:

Z za Miedzy. 21

Nowe zwycięstwo Medycyny 27

Prof. Dr. J. Szymański.—O jaglicy 30

Czytanie na odległość 32

Szpital — czynnikiem uspołeczniającym 35

Plan nowoczesnego domu mieszkalnego 40

ROZMAITOŚCI:

Z badań nad gruźlicą.—Jad kąkolu. — Wpływ zimna na organizm ludzki . . . . 41—42—43

NA WOLNĄ CHWILĘ:

Franciszek Nowicki. — Morskie Oko 44

Rocznice Sierpniowe 45

I. P. — Kobiety-Bohaterki 49

Włodzimierz Żuławski. — Fragment 51

Bylica. — Z Tęsknoty 53

M. Czaplic. — W Sowim Borku (dok.) 56

k. w. — Z cyklu „Pożegnania“ 60

Stanisław Przybyszewski. — Powrót (wyjątek) 62

J. Anc. — Mogiła Maciejowicka 67

Władysław Bogdanowicz. — Bohater 70

Seweryna Duchińska. — Ojcze Nasz 77

„Am. Red. Cross.“.—Na wielkomiejskim targu nędzy 78

SPIS ILUSTRACYJ:

Juljusz Słowacki 5

MEDALE I ODZNAKI P. C. K.:

Medal bronzowy dla Miast i Instytucyj 6

Medal srebrny i bronzowy P. C. K. 15

Rozstrzelanie Edyty Cavell, pielęgniarki Czerwonego Krzyża, przez Niemców w Belgji 1915 r. 21

Jak sobie karykaturzysta amerykański przedstawia zakusy niemieckie o „Korytarz Gdański“ 26

Kaplica Szpitala Czerwonego Krzyża w Warszawie 34

Plan nowoczesnego domu mieszkalnego 39

Dożynki 44

Atak Ułanów 48

Brzegi Michiganu 52

Portret Stanisława Przybyszewskiego 62

Portret Seweryny Duchińskiej 77



LECI JUŻ...

O tak! nim ja w śmierć Ojczyzny uwierzę,
Choćby w mogile leżąc, jak trup zbrzydła,
Pierwej Ją pieśnią potargam za pierze,
Pierwej Ją wezmę na pieśniane skrzydła,
Porwę Ją z ziemi, tak jak wicher bierze,
Stargam łańcuchy wszystkie, wszystkie sidła,
Podniosę w niebo, kędy Pan Bóg świeci,
Puszczę... jeżeli żywa, to poleci...

JULJUSZ SŁOWACKI.

SPRAWY CZERWONEGO KRZYŻA.





Medale i odznaki P. C. K.:
Medal bronzowy dla Miast i Instytucyj.

Liga Czerwonych Krzyży.

Powstanie Ligi Czerwonych Krzyży zapoczątkowało nową erę w dziejach Czerwonego Krzyża i w rozwoju działalności humanitarnej. Był to nieunikniony wynik ogólnego kierunku pojęć nowoczesnych, XIX wiek pozostanie w historji wiekiem doświadczeń i pojedyńczych wysiłków, zaś wiek XX wykazuje dążność do koordynacji pracy i do systematycznego ujednostajnienia wysiłków: stworzenie Ligi przez T-wa Czerwonego Krzyża wynikło z tej właśnie ogólnej dążności.

Liga była skądinąd wynikiem 2-ch prądów, które się coraz bardziej zarysowały w działalności wybitnych jednostek czerwonokrzyskich, mianowicie: pokojowa działalność Czerwonych Krzyży oraz zjednoczona międzynarodowa praca twórcza Narodowych Towarzystw Czerwonego Krzyża.

Pierwsza Międzynarodowa Konferencja C. K., zwołana w 1863 r. w Genewie pod egidą Międzynarodowego Komitetu obradowała nad niesieniem ulgi rannym żołnierzom w czasie wojny. W przeciągu następnych 10 lat Czerwony Krzyż był godłem pracy w tej wyłącznej dziedzinie. Jednakże, już w 1867 r. została rozpatrywana podczas Międzynarodowej Konferencji C. K. możliwość humanitarnej pracy w czasie pokoju. Wystąpił z tym wnioskiem delegat frncuski, p. de Beaufort, jednakże minęło dużo czasu, zanim pojęcie o Czerw. Krzyżu, jako o dorywczym czynniku w czasie wojny, ustąpiło miejsce przeświadczeniu, że Czerwony Krzyż winien nieść ciągłą i stałą pomoc ludzkości.

W chwili zakończenia Wielkiej Wojny, Czerwone Krzyże stały silniej, niż kiedykolwiek; w czasie wojny zdobyły we wszystkich niemal krajach bezwzględne zaufanie społeczeństwa. Uznanie, otaczające ogólnie organizację Czerwonego Krzyża, nie dozwalało zatem wobec panującej niedoli i wobec jeszcze groźniejszych przewidywań na zdemobilizowanie tak pożytecznej instytucji. Stawało się oczywistem, że po klęsce wojny nastąpią jeszcze inne klęski, które od dawien dawna tamowały rozwój ludzkości. Nie mogło być mowy o zawieszeniu broni w walce z chorobami i z cierpieniem; chwilowa nawet przerwa w tej walce pociągnęłaby za sobą utratę zdobytego poprzednio gruntu i okazałaby się ogromnym błędem.

Poszczególne Towarzystwa Czerwonego Krzyża zrozumiały tedy konieczność skoordynowania swej pracy. P. Henryk Davison, prezes Amerykańskiego Czerwonego Krzyża, wystąpił z wnioskiem, aby T-wa Czerwonego Krzyża zrzeszyły się w celu wzmożenia i rozwinięcia swej działalności pokojowej, a wniosek jego przyjęto z zapałem w świecie Czerwonokrzyskim. Dnia 1 lutego 1919 r. przedstawicielstwa Czerwonych Krzyży: Amerykańskiego, Angielskiego, Francuskiego, Włoskiego i Japońskiego utworzyły Komitet Czerwonych Krzyży i podjęły się zadania ułożenia konkretnych wniosków: dnia 5 maja 1919 r. została założona w Paryżu Ligą Czerwonych Krzyża.

Liga jest instytucją demokratyczną, na czele której stoi Rada Główna, złożona z przedstawicieli Narodowych T-w Czerwonego Krzyża, będących członkami Ligi. Rada Główna stanowi o ogólnych sprawach Ligi i zbiera się w tym celu przynajmniej co 2 lata. Pierwsze zebranie Rady Głównej odbyło się w dn. 15 marca 1920 r. w Genewie. Zjechali się przedstawiciele 30 Towarzystw Czerwonego Krzyża, a jednomyślność którą wykazali, pozwoliła pomyślnie wnioskować o przyszłości nowo powstałej Ligi. Stało się odrazu widocznem, że ścisła

współpraca Czerwonych Krzyży i wzmagająca się działalność międzynarodowego sekretarjatu Ligi wydadzą plon obfity.

Gdy we 2 lata później zebrała się ponownie Rada Główna, wszystkie prawie istniejące Towarzystwa Czerwonego Krzyża były już członkami Ligi. Posiadając trzyletnie doświadczenie, Rada Główna mogła ściślej ująć zadania Ligi. Poleciła zatem poszczególnym Towarzystwom Czerwonego Krzyża pracę nad ogólnem polepszeniem zdrowia; pośród działalności, zalecanych poszczególnym Czerwonym Krzyżom, położono specjalny nacisk na popularyzację odczytów o zdrowiu, na pielęgniarstwo i na C. K. Młodzieży; jednocześnie Sekretarjat Ligi miał wyczerpująco przestudjować wszelkie sprawy, wchodzące w zakres tych działalności.

Zebrana w 1922 r. Rada Główna postanowiła również przenieść Zarząd Ligi z Genewy do Paryża, miasta, przedstawiającego niezrównane warunki dla ześrodkowania akcji międzynarodowej. Trzecie zebranie Rady Głównej odbyło się w Paryżu, w końcu kwietnia 1924 roku; stwierdzono na niem dodatnie wyniki programu, ustalonego przed dwoma laty, a wygłoszone na zebraniu przemówienia dowiodły, iż Cz. Krzyże całego świata zamierzały dalej stosować i rozszerzać podjęte prace.

Podajemy poniżej w streszczeniu osiągnięte wyniki: 52 Towarzystw Czerw. Krzyża, z których 3 część zawdzięcza swe powstanie Lidze, podjęły w swych krajach rozpowszechnianie zasad o zdrowiu, oraz niesienie ulgi cierpiącym w czasie pokoju. Towarzystwa te otrzymały możność zrzeszenia się w Międzynarodową organizację, dzięki której mogą sobie wzajemnie pomagać i służyć; jest to dowód, że w zakresie akcji humanitarnej międzynarodowa współpraca jest nietylko możliwa, ale praktyczna i owocna. Godło Czerwonego Krzyża urosło w znaczenie i przestało być uważane wyłącznie jako emblemat opieki, udzielanej rannym podczas wojny, a stało się symbolem łączności narodów: pod tym symbolem mężczyźni, kobiety i dzieci wszelkich narodowości jednoczą się we wspólnym wysiłku dla niesienia ulgi cierpieniom ludzkości.

„Red Cross Courier", 15 maja 1925 r.

L. E. Giełgud.

SPRAWOZDANIE Z KONGRESU TOWARZYSTW CZERWONYCH KRZYŻY, ODBYTEGO WE WIEDNIU,

w czasie od 11 do 15 maja 1925 r.

Dnia 11 maja 1925 roku został we Wiedniu otworzony uroczyście Kongres Towarzystw Czerwonych Krzyży Europy Wschodniej. Otwarcia Kongresu dokonał prezes C. K. austrjackiego, p. baron Beck; tegoż dnia przemawiał prezes Ligi Czerwono-Krzyskiej p. Claude Hill, podkreślając ważność obrad, zwłaszcza tej Komisji, która miała opracować projekt senatora Cirąolo. Imieniem rządu austrjackiego przemawiał sekretarz stanu, p. Ramek, witając w serdecznych słowach wszystkich przybyłych delegatów i wyrażając swoją radość, że na miejsce obrad wybrano Wiedeń. Generał Józef Haller został wybrany wiceprezesem Kongresu. Prezesem Kongresu był z urzędu p. br. Beck, jako prezes miejscowego Tow. C. K.

Wieczorem tegoż dnia odbył się raut w salonach „Hofburgu" na cześć przybyłych delegatów zagranicznych, wydany przez prezesa austr. C. K. Raut ten zaszczycił swą obecnością prezydent Związku republiki austrjackiej, eksc. Hainisch.

Dnia 12 maja poszczególne komisje rozpoczęły obrady: gen. Haller Józef, powołany do Komisji II-ej, zajmował się opracowaniem projektu senatora Ciraolo.

Dnia 12 maja prezydent republiki austrjackiej, Hainisch przyjął na audjencji gen. J. Hallera, a 13 maja po południu odbyło się przyjęcie w salonach reprezentacyjnych prezydenta na cześć przybyłych z zagranicy gości.

Dnia 14 maja gen. J. Haller wydał śniadanie w hotelu „Imperial" na cześć posła Rzeczypospolitej Polskiej i Ministra Pełnomocnego we Wiedniu, d-ra Kowalskiego. Na śniadaniu tem obecni byli też przedstawiciele tych Towarzystw C. K., z któremi delegacja polska najbliżej współpracowała.

Dni 14 maja podczas śniadania w poselstwie polskiem gen. J. Haller dekorował sekretarza poselstwa p. dr. Bergera medalem srebrnym Czerw. Krzyża za wybitny współudział w organizacji pawilonu polskiego wystawy hygienicznej.

Powrót do kraju nastąpił dn. 15 maja wieczorem.

Konferencja Gen. Hallera z prezesem Austr. Tow. Czerw. Krzyża p. dr. Beckiem.

Dnia 14 maja odbył gen. Haller konferencję z prezesem austr. Czerw. Krzyż. w sprawie współpracy pomiędzy organizacjami polską a austrjacką. Poruszano sprawę poparcia emerytów b. rządu austr. obywateli Państwa Polskiego, którzy ze względu na to, że nie mieszkają w Polsce, nie mogą pobierać przynależnej im emerytury. Rząd austrjacki osobom tym nie wypłaca żadnych poborów. Gen. Haller proponował, aby austrjackie Tow. C. K. opiekowało się po części temi osobami, przynajmniej o tyle, o ile są one chore i niedołężne. Prezes Beck na propozycję tą zgodził się tylko warunkowo, o ile P. C. K. zechciałby wydatki, związane z utrzymaniem tych chorych pokryć.

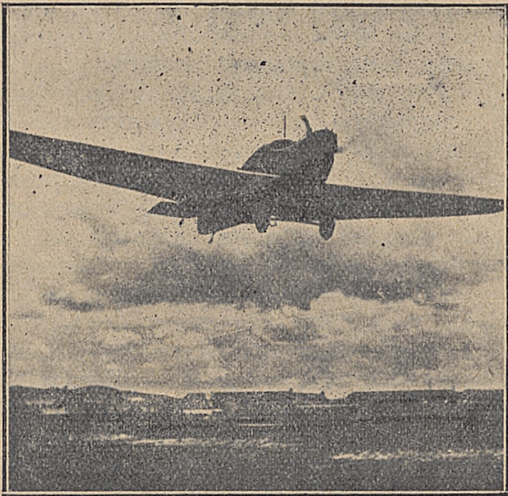
Poruszano również sprawę wymiany dzieci podczas miesięcy letnich, na którą propozycję prez. Beck się zgodził, prosząc tylko o konkretne dane w tym kierunku.

Ogólny wynik konferencji był naogół zadawalający; stwierdzono z obu stron zupełną gotowość do jak najściślejszej współpracy.

Wystawa hygieniczna.

Wystawa Hygieniczna znalazła doskonałe pomieszczenia w gmachu dawnych stajen cesąrskich. Ze strony polskiej materjał posłany na wystawe pochodził ze źródeł Czerwonego Krzyża i Generalnej Dyrekcji Zdrowia. Min. Spr. Wojsk. posłało na wystawę kilka graficznie przedstawionych statystycznych tablic o stanie chorób zakaźnych w wojsku, oraz kilka obrazów. Ze względu na szybkość, z którą musiano zbierać materjał na wystawę, cały szereg objektów był zaopatrzony tylko w napisy polskie, co wywołało u niektórych zwiedzających wrażenie ujemne, gdyż nie rozumieli tych napisów. Brakowało eksponatów min. kol. żelaznych i kas chorych.

Z innych oddziałów przedstawił się bardzo dobrze oddział czeski, oraz w oddziele ogólnym sekcja „Der Mensch", która przedstawiała całokształt walki człowieka z chorobami i środki hygieniczne dla chronienia się przed niemi.



Czerwony Krzyż, jako znak Neutralności Samolotów Sanitarnych.

Jest rzeczą, na pierwszy rzut oka, naturalną, że samoloty sanitarne, a więc przeznaczone wyłącznie do transportu rannych i chorych, noszą na sobie godło Konwencji Genewskiej — znak Czerwonego Krzyża. Toż, pierwszy pilot sanitarny, lekarz i senator francuski Reymond z tryumfem zawiesił znak Czerwonego Krzyża na samolocie, którego użyczył mu rząd Francji do prób wyszukiwania rannych w polu, w czasie wielkich manewrów pod Poitou 1912 roku. Twórca lotnictwa sanitarnego, przeznaczonego do transportu rannych, dr. Chassaing umieścił na pierwszym swym samolocie Czerwony Krzyż, jako znak wyłącznej służby dla dobra cierpiących. Za pomocą samolotów wykonano dotychczas kilka tysięcy transportów rannych w Marokko, Syrji, Algierze, Tunisie, Francji, Hiszpanji, Włoszech, Indjach — zawsze pod znakiem Czerwonego Krzyża. Tak jest więc de facto, de jure jednak — samoloty sanitarne nie mają, narazie, prawa uży-

wania godła Konwencji Genewskiej, mimo, iż pod znakiem tej Konwencji niosą pomoc rannym i chorym już od kilku lat.

Historja wytworzenia się podobnie dziwnego, anormalnego stanu rzeczy jest następująca. Samoloty sanitarne nie były i nie mogły być omówione w Konwencji Genewskiej, ani Haskiej, stąd celem umożliwienia używania znaku czerwonego krzyża na samolotach sanitarnych i uniknięcia ostrzeliwania go przez nieprzyjaciela, konieczne są międzynarodowe uchwały, stwarzające nową konwencję, np. na wzór konwencji, omawiającej użycie okrętów szpitalnych, albo też — wkluczoną do istniejącej Konwencji Genewskiej. Rozróżnić przytem należy dwa rodzaje samolotów sanitarnych, o których myślano przed Wojną Światową: samoloty do wyszukiwania rannych na polu bitwy, oraz samoloty, przeznaczone do transportu chorych i rannych. Pierwsze samoloty musiałyby latać nad polem bitwy, a nawet nad pozycjami nieprzyjacielskiemi. Oczywista, obserwatorzy tych samolotów mogliby robić rozpoznanie pozycyj nieprzyjacielskich i tym sposobem szkodzić nieprzyjacielowi, czyli w myśl art. 7 konwencji 1906 roku, mogliby być ostrzeliwani przez nieprzyjaciela, mimo znaku czerwonego krzyża na samolocie. Fakt podobny mógłby być bardzo szkodliwy wogóle dla znaku czerwonego krzyża, jako symbolu neutralności i nietykalności na polu bitwy, gdyż żołnierz, który ostrzeliwuje samolot, zaopatrzony w czerwony krzyż, z lekkiem sercem zacznie ostrzeliwać również formacje sanitarne na ziemi. Zresztą sam problem wyszukiwania rannych na polu bitwy za pomocą samolotów upadł, zdaje się definitywnie, dzięki niemożności odróżnienia przez pilota, zdrowego człowieka leżącego na ziemi od rannego i zabitego.

Nie mniej skomplikowaną jest kwestja neutralizacji samolotów sanitarnych, przeznaczonych do transportu rannych. Przed wojną zwracano na nią niewiele uwagi. Zajęła ona umysły dopiero na skutek wyniku transportów sanitarnych samolotami w Marokko.

W 1921 roku na X-ej międzynarodowej konwencji Czerwonego Krzyża Frank Hastings w imieniu Czerwonego Krzyża serbskiego w Anglji zażądał, by Komitet Międzynarodowy Czerwonego Krzyża zwrócił się do państw, które podpisały Konwencję Genewską, celem dodania do niej rozdziału o ochronie samolotów sanitarnych, przeznaczonych do transportu rannych.

W dwa lata później, w czasie XI-ej Konferencji Czerwonego Krzyża, generał — lekarz armji francuskiej, Niclot, dyrektor służby zdrowia XIV-go korpusu, imieniem swego rzą-

du zawiadomił oficjalnie o używaniu przez Francuzów na samolotach sanitarnych znaku czerwonego krzyża, oraz prosił o umożliwienie ich zneutralizowania, przez zmodyfikowanie częściowe Konwencji Genewskiej. Celem dania możności uczestnikom następnej konferencji powziąć osobiste zdanie o pożytku zastosowania samolotów sanitarnych, rząd francuski, w osobach majora-lekarza Vincent i pułkownika-lekarza Picqué, demonstrował na lotnisku w Cointrin pod Genewą loty płatowców sanitarnych, poczem wiceprezydent Komitetu Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, Des Gouttes zainicjował debaty nad możliwością neutralizacji samolotów sanitarnych (22 września 1924 roku). Wynikiem narad było stwierdzenie, że w Konwencji Genewskiej (1906) nie było i nie mogło być wzmianki o samolotach sanitarnych. Sprawa wymaga więc omówienia i rozstrzygnięcia międzynarodowego, to jednak, zdaniem XI-ej konferencji, pożądanem jest, by samoloty sanitarne i ich załoga korzystały z dobrodziejstw Konwencji Genewskiej i w tym kierunku kongres zrobi wszystko, co jest w jego mocy.

Na skutek inicjatywy Pawła Des Gouttes, wiceprezesa Komitetu Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, wyszedł w styczniu 1925 roku „Cyrkularz Międzynarodowego Komitetu Czerwonego Krzyża o neutralizacji samolotów sanitarnych", zaadresowany do p. p. prezydentów i członków komitetów Czerwonego Krzyża. Cyrkularz wzywa poszczególne państwa do wybrania specjalistów, którzy zajęliby się sprawą neutralizacji samolotów sanitarnych, celem przygotowania materjału na XII Międzynarodową Konferencję Czerwonego Krzyża, mającą się odbyć w końcu tego (1925) roku.

Jako przygotowanie do tej konferencji Dr. Julliot podał swój „Drugi raport do komitetu głównego neutralizacji samolotów sanitarnych".

Autor rezygnuje z omawiania neutralizacji samolotów, wyszukujących rannych na polu bitwy, z powodu nietykalności tego zagadnienia, a przechodzi wprost do kwestji transportu samolotami lekarzy, rannych i materjału sanitarnego, przyczem podaje wyniki ankiety, jaką zainicjował na ten temat.

Oto rezultaty tej ankiety:

1) Utopją jest wyszukiwanie rannych przez samoloty w czasie bitwy.

2) Utopją jest zabieranie rannych do samolotów, już na polu walki. Mogą być oni ładowani do samolotu dopiero po ich segregacji, a więc najwcześniej w miejscu głównego punktu opatrunkowego dywizji.

3) Samoloty sanitarne powinny należeć do służby zdrowia danej narodowości, a nie do neutralnych, lub do międzynarodowego Czerwonego Krzyża.

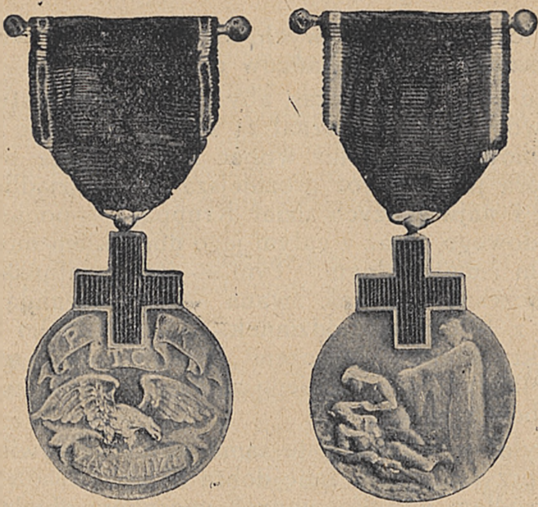
4) Niemożliwem jest zaprowadzenie dla wszystkich państw jednakowego typu samolotów sanitarnych, gdyż to zależy od typu samolotów bojowych danego państwa (konieczność wymiany części zepsutych, wyszkolenia pilotów etc). Zakaz przelatywania nad pozycjami nieprzyjacielskiemi dla wojskowych samolotów sanitarnych.

Sanitarne samoloty prywatne i neutralne winny mieć prawo latania, jedynie, wewnątrz kraju, a to ze względu na tajemnicę rozmieszczenia wojsk na froncie. Pożądane jest zaprowadzenie dla wszystkich samolotów sanitarnych całego świata jednakowego typu noszy i szkieletów do ich zawieszenia.

W myśl tych wyników ankiety autor proponuje projekt „konwencji dodatkowej" do Konwencji Genewskiej.

Projekt ten będzie zapewne rozpatrywany na mającej odbyć się w październiku tego roku XII Międzynarodowej Konwencji Czerwonego Krzyża. Naogół z punktu widzenia Polski możnaby się zgodzić prawie na wszystkie jego postulaty. Można postawić ten zarzut ogólny, iż projekt Konwencji oparty jest wyłącznie na warunkach walki pozycyjnej, a nie uwzględnia prawie sytuacyj, które wytwarza walka ruchowa. Życzyć należy by XII-a Konferencja ustaliła wreszcie zasady zneutralizowania godła Czerwonego Krzyża. Godło to potrzebne będzie samolotom sanitarnym nawet w czasie pokoju, gdyż ono, jedynie, otworzyć im może swobodny przelot nad obcem terytorjum bez zachowania formalności granicznych i celnych. W chwili zneutralizowania samolotów sanitarnych i zaopatrzenia ich w znak Krzyża Konwencji Międzynarodowej, będą mogły one bez przeszkody pełnić swą misję. Wypełnią się wtedy słowa twórcy lotnictwa sanitarnego dra Chassainga: „Nastanie czas, gdy samolot, który dotychczas niósł śmierć i zniszczenie na wojnie, przyniesie ludzkości życie i ocalenie.

Składkowski.



Medale i oznaki P. C. K.
Medal srebrny lub bronzowy.

Czerwony Krzyż a Wojna.

III.

Z treści poprzednich rozdziałów wynika, że zasadniczy cel, przewidziany statutem Polskiego Czerwonego Krzyża, t. j. „współpraca z władzami wojskowemi, państwowemi i z organami społecznemi" w obecnych warunkach tworzenia siły zbrojnej w postaci, tak zwanych „narodów uzbrojonych", gdzie każdy żołnierz jest obywatelem, układa się w ten sposób, że, współpracując na przykład z władzami wojskowemi, wchodzimy tem samem w kontakt z władzami państwowemi i organami społecznemi ponieważ zasady współczesnej Obrony Narodowej wymagają koordynacji wszystkich sił i środków całego Kraju. Stąd i na odwrót każdy nowy sposób wojowania, zmierzający do zwalczania wojska, tem samem godzi w cały naród wraz z jego instytucjami państwowemi i organami społecznemi; taktyka nowoczesna nie kryje się z tem bynajmniej, wskazując, że „efekt napadu lotniczo-gazowego" — na przykład — „ma na widoku operacje na tyłach frontu strategicznego" — i w punktach — „mocno zaludnionych" — w celu wywołania popłochu i zamętu, oraz poderwania akcji mobilizacyjnej i sprawności odpowiednich organów państwowych i społecznych. Dla tego obrona przed napaścią lotniczo-gazową musi spoczywać nie tyl-

ko w ręku formacyj wojskowych, ale też należeć winna do powinności wszystkich mieszkańców całego Kraju.

Wobec powyższego, czas, aby całe społeczeństwo — a zatem i Czerwony Krzyż — uznał za swój obowiązek zająć odpowiednie stanowisko również wobec innej jeszcze broni nowoczesnej, która jest stokroć groźniejszą od najzjadliwszych — „iperytów" i największych dział Kruppa, — ponieważ zabija ducha narodowego, wraz z całym jego dorobkiem moralnym, intelektualnym i materjalnym. Tym — iście szatańskim orężem walki nowoczesnej jest tak zwana — „propaganda wojenna", czyli jedna z 10-ciu niespodzianek, które Wilhelm II ukrywał pod swym krzyżackim płaszczem „bojaźni Bożej", aż do czasu, gdy „Cud Marny" poderwał jego zaufanie w skuteczność dawnych sposobów wojowania.

Wykryło się wtedy, że te same zdobycze cywilizacji ludzkiej, które przyswajano w imię dobra ludzkości — stały się dla Niemców źródłem wyrafinowanych sposobów ohydnego bratobójstwa i miażdżenia wszystkiego, co ma odwagę stawiać czoło butnej potędze krzyżackiego bandyty: chemja dała Niemcom gazy, zwęglające płuca, preparaty, zatruwające wodę, pokarmy, a nawet cukierki dla małych dzieci; — bakterjologja dała im: kulturę drobnoustrojów, rażących przeciwnika dżumą, durem, cholerą; — fizyka: potęgę siły przed prawem; — prawo: zasadę faktu dokonanego i „świstków papieru", oraz okupacji cudzego mienia; — przemysł produkcję tłuszczów i smarów z trupów poległych żołnierzy, wreszcie — socjologja: zasady agitacji, propagandy oraz wyzysku ludzkiej naiwności i uczciwości.

Klęska armji rosyjskiej jest najjaskrawszym dowodem, że propaganda niemiecka była skuteczniejszą od strategji Hindenburga i Ludendorfa. Oto na jesieni 1917 roku rosyjski sztab postanowił zorganizować ofensywę II i X-tej armji w kierunku Wilna; powodzenie, jak się zdawało, było zapewnione otrzymano bowiem wiadomość, że front niemiecki pod Smorgonią jest słabo obsadzony, że przeciwnicy — wobec głodu i braku amunicji — zamierzają cofnąć się na linję Niemna; pozatem Rosjanie otrzymali właśnie świetną artylerję angielską i niebywałą ilość amunicji; — więc, po dwugodzinnym piekielnym ogniu huraganowym, rzucono na bagnety dzielny legjon kobiecy — Boczkarowej, co miało być hasłem do rozpoczęcia ofensywy obu armij...

Boczkarowa, nie zważając na siarczysty ogień kulomiotów i ogromne straty, opanowała dwie linje niemieckich okopów, lecz właśnie w chwili, gdy Niemcy rozpoczęli cofanie się,

wojsko rosyjskie zebrało się na wiec, na którym, na skutek namowy niemieckich agitatorów, rzucono hasło — „wojny z wojną" — i uradzono cofnąć się na dawne stanowiska...

Należy przytem stwierdzić, że Niemcy umieli akcję propagandy zorganizować znakomicie: — mieli trzy specjalne szkoły, produkowali nader obfitą literaturę, ustanowili w wojsku odpowiednie urzędy, urobili za pomocą przekupstwa grunt podatny i rzucili na tyły armji mistrzów propagandy destrukcyjnej, Lenina i Trockiego.

Poniżej, jako wzór „arcydzieła twórczości" niemieckiego sztabu generalnego, podajemy w dosłownem tłumaczeniu odpowiedni rozkaz:

1) Zgodnie z telefonicznym rozkazem Nr. 2098, należy rozwinąć propagandę na rumuńskim froncie.

2) Cel propagandy: — dezorganizacja armji rumuńskiej i zdobycie wiadomości o nieprzyjacielu, a szczególnie o nowej I-ej armji, która znajduje się na mołdawskim froncie.

3) Propagandę należy uskutecznić za pomocą:
   a) rozrzucania w jak największej ilości w nieprzyjacielskich pozycjach dzienników i proklamacyj, przeznacznych dla inteligencji w rumuńskiej armji,
   b) przekonywania słowem i zdobycia zaufanych pewnych ludzi w rumuńskich oddziałach: (podoficerów i oficerów przeważnie).

4) Każdy indagacyjny punkt na froncie — (Frontgesuchmundstelle) — NN. 1 — 9 (N. 8 chwilowo nie obsadzono) ma być oddany do dyspozycji dowódcy kompanji, znajdującej się na pozycji; dowódca kompanji jest obowiązany:
   a) wybrać na swoim czołowym odcinku odpowiedni punkt, gdzie mają być rozrzucane gazety i odezwy, przeznaczone dla nieprzyjaciela,
   b) wejść w łączność z nieprzyjacielem za pomocą tłumaczów i — jeśli nieprzyjaciel daje się nakłonić, umówić się z nim co do godziny i miejsca przyszłej schadzki.

5) O wszelkim porozumieniu w owym kierunku należy niezwłocznie zawiadomić naczelnika oddziału wywiadowczego. Prawo prowadzenia indagacji posiada naczelnik oddziału wywiadowczego, na podstawie danych mu instrukcyj; zapytania, układane przez dowódcę kompanji, mają na celu przygotowanie gruntu do pertraktacyj oddziału wywiadowczego.

6) Naszym oddziałom zabrania się surowo prowadzenie

rozmowy na własną rękę i gdzieindziej niż na wskazanym punkcie: mógłby to bowiem wyzyskać nieprzyjaciel dla celów własnego szpiegostwa.
Należy być przygotowanym, że i nieprzyjaciel zechce wyzyskać dobroduszność naszych żołnierzy do celów własnego szpiegostwa i dla tego surowy rozkaz N. 39, dotyczący tej sprawy, obowiązuje nadal.
Listy i druki, przynoszone ze strony przeciwnika, należy odbierać i oddawać naczelnikowi wydz. wywiadowczego nierozpieczętowane.

7) Na początku propagndy — (po rozrzuceniu gazet i proklamacyj) — dowódcy kompanij mają zanotować owe punkty, gdzie nieprzyjaciel brał gazety, gdzie zachowywał się wrogo lub obojętnie, gdzie swobodnie i bez trwogi przesuwał się wzdłuż swoich linij obronnych, a także owe punkty, gdzie zachowuje się nieprzystępnie.
Należy unikać punktów obserwacyjnych artylerji, albowiem są tam zwykle francuscy oficerowie i instruktorowie.

8) Dobre skutki zawiązania stosunków z przeciwnikiem, sposobem wskazanym, zależą od tego, czy sprytnie były uczynione pierwsze próby pojednania. Głośne okrzyki mogą łatwo przerazić takiego tchórzliwego przeciwnika, jakim jest Rumun i mogą wywołać alarm na całym froncie.
Do najlepszych wyników dochodzi się za pomocą nawoływań w koleżeńskim duchu, częstego powtarzania owych prób pojednania na tych samych miejscach, obietnicą nie strzelania, rozdawaniem tytoniu. Tytuń brać u dowódcy kompanji.

9) Dowódcy kompanij obowiązani są zdawać relacje naczelnikom wydziałów wywiadowczych codziennie o 20-tej godzinie; w owych relacjach musi być wskazane:

a) kiedy i gdzie rozrzucono, lub rozdano gazety;
b) czy nieprzyjaciel brał gazety;
c) czy robione były próby porozumiewania się z nieprzyjacielem;
d) kto przychodził od strony przeciwnej — (żołnierz, podoficer, oficer) — oraz z jakim pułkiem wszczęto pertraktacje;
e) rozmaite obserwacje co do zachowania się przeciwnika.

W tym czasie tłumacze na punktach indagacyjnych przesyłają naczelnikowi oddziałów wywiadowczych treść rozmowy z nieprzyjacielem — jeśli można — słowo w słowo obowiązkowo ze wskazaniem, jak długo trwała rozmowa.

O wszystkich faktach, wyznaczonych na drugi dzień należy niezwłocznie donieść naczelnikowi oddziału telefonicznie.

10) Nieprzyjacielskie pozycje, na których będzie odbywać się propaganda, nie powinny być ostrzeliwane przez naszą artylerję. Dowódca artylerji dowie się o tem przez sztab dywizji.

11) Rumun jest wiarołomny i nieuczciwy: należy o tem pamiętać i być przygotowanym, że będzie on próbował wziąć do niewoli, albo pozabijać naszych propagatorów. Należy być ostrożnym.

Dla obrony naszych żołnierzy należy zorganizować stosowne oddziały, trzymać je w ukryciu i rozlokować je tak, aby nie można było ich spostrzec.

Ogień rozpoczną one wyłącznie na rozkaz dowódcy kompanji, w którego rozporządzeniu znajduje się punkt indagacyjny.

Pierwsza brygada ma nadesłać do dnia 12 lipca spis dowódców kompanij, którzy mają być mianowani naczelnikami punktów indagacyjnych dla propagandy.

Za Dowódcę dywizji — (na urlopie) — podpisał:
Krejnberg — generał brygady.

Czytał — podpisano — Runk — porucznik, dowódca kompanji.

Po wojnie 1914 roku zasada niemieckiej propagandy znalazły — niestety — szerokie zastosowanie przy ustaleniu rzekomej — „równowagi międzynarodowej", a jej skutki dają się wyczuć w sposób nader dotkliwy wszędzie, zacząwszy od ciężkich warunków naszego bytu politycznego i ekonomicznego, kończąc zaś — chociażby na stosunkach w Chinach i rokoszu w Marokko...

A jednak, nie zważając na powyżej wzmiankowane wskazania destrukcyjnej akcji niemieckiej i propagandy, wyławiającej w warunkach powszechnego zamętu te rybki, które wymknęły się z niemieckich rąk na skutek przegranej wojny, mamy najczęściej do czynienia z głębokiem przeświadczeniem, że prawo propagandy polega na zasadach ogólnie uznanej tolerancji wierzeń, poglądów osobistych i jest jedną z najwspanialszych zdobyczy naszej cywilizacji i walk o wolność ludów...

Wiedzą o tem Niemcy aż nadto dobrze, a powodzenie

ich propagandy polega na umiejętności jej zastosowania w kierunku jak najmniejszego oporu.

Pod tym względem wewnętrzny stan rzeczy w Rosji przedwojennej i powszechna dezorganizacja powojenna, były i są najpodatniejszym gruntem dla destrukcyjnej akcji wszelkiego rodzaju, pogoń zaś za zyskami materjalnemi, chociażby kosztem wartości osobistej, najodpowiedniejszym jest warunkiem jej wprost zdumiewającego powodzenia.

Charakterystycznym objawem jest fakt, że i armja niemiecka uległa skutkom propagandy ententy — widocznie w myśl zasady, że kto czem wojuje, od tego i ginie. Wiedział o tem również sam Wilhelm II. i dlatego długo się namyślał, zanim się zdecydował obnażyć ów miecz obosieczny, który w końcu skruszył jego tron i zniweczył jego butne marzenia.

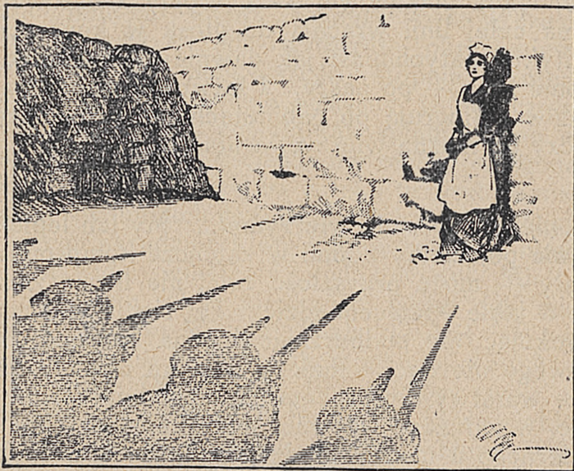
Znać propaganda — to igraszka rozpustnej Kleopatry z wężem, który wkońcu zabija ją samą...

Dziś propaganda występuje jawnie i bezkarnie przeciwko wszystkim dziesięciu przykazaniom i przy pomocy owych mistrzów agitacji, którzy za swą działalność destrukcyjną pobierają stokrotnie większe uposażenie, niż najwybitniejsi ludzie wiedzy i nauki, zabijają w coraz szerszych masach ludności ducha miłości Boga i bliźniego, a niweczy podstawy spójni narodowej. Stąd mamy dziś więcej inwalidów ducha i zranionych moralnie, niż pokaleczonych w czasie ostatnich naszych walk orężnych, a — tuż obok widzimy biedny naród rosyjski, który na skutek propagandy już wyzionął ducha, ciało jego gnije i trupim jadem zakaża innych... Jest to objaw bezprzykładnego w historji ludzkości mordu i grabieży, który nie może nie pobudzić całej ludzkości do czujności.

PanMeissner — prezes P. C. K. O. W. — w swem przemówieniu — („Czer. — Krzyż" — N. I.) — słusznie zaznaczył, że Polski Czerwony Krzyż — „czuwa i krzepi ducha!" — dla tego też powinien zapobiegać złym skutkom propagandy, nieść — „pokój ludziom dobrej woli" — i popierać instytucje, które ku temu zmierzają, a przedewszystkiem, winien roztoczyć jak najtkliwszą opiekę nad normalnym rozwojem życia rodzinnego i nad jego kapłanką: — matką Polką. Ognisko rodzinne zawsze było naszą ostoją w czasach niewoli, ono stało się dla nas niewyczerpanem źródłem potęgi narodowej w czasach naszego odrodzenia, ono też zbawi nas od klęsk akcji destrukcyjnej propagandy.

Wł. Wejtko.

WIEDZA I ŻYCIE.



Rozstrzelanie Edyty Cavell, pielęgniarki Czerwonego Krzyża, przez Niemców w Belgji 1915 r.

Z za miedzy.

(NA ZACHODZIE).

Szereg wydarzeń, jakie ostatnio zaszły w Niemczech, jak wybór Hindenburga prezydentem republiki germańskiej, jak niemiecki projekt gwarancyjny, otwarcie skierowany przeciw Polsce, jak starogardzka intryga — nazbyt przejrzysta, bo po szwabsku niezgrabna, wymierzona przeciwko naszemu Pomorzu, — jak nawet gdańskie nieustanne pretensje, przypomina nam raz-po-raz, natrętnie i nieustępliwie, sąsiada naszego z za miedzy zachodniej, z którym niejeden zapewne czeka nas jeszcze porachunek, przeciw któremu tedy winna być zwrócona cała nasza społeczna uwaga, całe najszerzej propagowane uświadomienie i zrozumienie mogących z tamtej strony grozić nam zamachów.

Wiemy zdawna — wiemy z całych tysiącletnich dziejów naszych — czego od Niemca spodziewać się można, widzimy w całym przebiegu dziejów tego narodu o nieodmiennie raubrit-

terowsko-krzyżackich instynktach, jakim umie być w zetknięciu się z nim bezpośredniem; cały świat przekonał się o tem w czasie tak bardzo niedawnej, a tak bardzo już w zapomnienie idącej lekcji poglądowej — z Wojny Światowej... A dziś Niemcy na całej linji wracają do głosu w koncercie europejskiej polityki i natychmiast jak dawniej, jak zawsze — wyciągają łakome łapy — po nasze. I łatwowierni politycy od zielonych stołów deliberują po gabinetach — ile Niemcom jeszcze ustąpić, czy im można wierzyć, a ufać, czy — nie...

*

My nie ufamy i nie wierzymy!... My ich lepiej od innych znamy i nie pójdziemy z nimi w zabójcze kompromisy, któreby kosztowały — może przyszłość całą, nie licząc ziem rdzennie polskich, o jakie Niemcom idzie. Tej się trzymając orjentacji, nie prowokując, nie podburzając, ale na baczności się trzymając, by swego nie dać — należy nam ku obronie uświadamiać najszersze warstwy o grożącem od zachodniej strony niebezpieczeństwie, a zarazem wzywać społeczeństwo całe do strażowania wiernego u naszej miedzy, za którą tam czyha wróg — nienawistny i nieprzebłagany.

Aby móc z tym wrogiem mieć do czynienia skutecznie a korzystnie dla siebie we wszelkiej potrzebie, znać go trzeba i tu wszystko, co pomóc może, skonsygnować należy do działania: niechajby wszystkie czynniki politycznego i społecznego życia nowej Polski zmierzały intensywnie i konsekwentnie do tego celu, byśmy złudzeń nie mieli żadnych, a na walkę — obronę byli gotowi. Prasa też winna tu działać jak najintensywniej. My — swoje robiąc, od czasu do czasu zamieszczać będziemy sylwetki i obrazki, niemieckich spraw i ludzi dotyczące; na początek — sięgniemy po parę z niedawnej Wojny Światowej przypomnień, przedewszystkiem dotyczących znanego, wyrafinowanego Niemców okrucieństwa, w którem najlepiej, najjaśniej odzwierciadliła się zbiorowa dusza niemieckiego narodu. Taka duszy okrutność nie odmieni się rychło i musi dawać przejawy działania, charakterystycznie złe, pełne zaciekłości i nienawiści ku wszystkim, z kim się oni zetkną, a zwłaszcza tym, kto — jak my, staje w drodze ich egoistycznych wyrachowań!

*

O okrucieństwie nieludzkiem Niemców, jakiego przejawy nazbyt mnogie i srogie dali nam w Wojnie Światowej — spisano już pewnie foliały całe! Tak się Niemcy stali znani z tych swoich metod wojowania, zaciekłych, gwałtownych, zawziętych — barbarzyńskich, a ręce i sumienia narodu swego za-

babrali krwią, ubroczyli się w niej, splamili nią sławę narodu — do tego stopnia, iż okrucieństwo owo urosło w opinji innych ludów i społeczeństw o Niemcach — do głównej ich cechy charakterystycznej, imię zaś, wyraz „Niemiec" było w czasie Wielkiej Wojny synonimem Heroda-Herostrata, określeniem jakiejś wszechpotworności, do najwyższego stopnia spotęgowanej. I słusznie wtedy pisali wszędzie wszyscy, iż zbroczona krwią ludów tylu łapa niemiecka została tak splamiona na długo — długo, że i po wojnie nikt jej uścisnąć nie zechce na zgodę i przyjaźń, a dlatego Niemcy stali się na daleką przyszłość niemożliwi i niepożądani w stosunkach przyjacielskich i kombinacjach pokojowych z innemi narodami, które ich nie przyjmą, nimi wzgardzą, bo ich nienawidzi świat cały cywilizowany! Mieli ponieść karę za tę niebywałą jakąś nienawiść, jakiej dali masy całe przejawów w Światowej Wojnie! Tak się dziś już wojny nie prowadzi, jak to czynili — oni; tak mógł wojować Atylla, lub Timur Kulawy, ale w wieku XX, by naród, który siebie uważa za specjalnego pupila Opatrzności Bożej, który swoje z Panem Bogiem komitywy ma wiecznie na ustach — bluźnierczo, który wreszcie uważa siebie za najoczywistszego i wyłącznego interpretatora wszelkiego postępu i całej ludzkiej kultury, aby ten naród prowadził wojnę z tak przerażającem wyrachowaniem zniszczenia wszystkiego, co nieprzyjacielskie, a choćby tylko nie niemieckie, o tem śwat do Wojny Wielkiej pojęcia nie miał! Którędy Niemcy gdzie przeszli — tam życie zamierało i gasło na — kto wie, jak długo, tam ruiny tylko, a zgliszcz strupy pozostawały, tam tylko łzy i żałoba dziedzictwem były, i klątwy krzywd, od stuleci chyba całych najcięższych i na stulecia następne pamiętnych. Wspomnijmy przecie tylko — dokumenty belgijskie i francuskie o mordowaniu w Belgji i Francji północnej bezbronnych ofiar tysięcy, starców, kobiet, dziatek, chorych, o dobijaniu rannych, używaniu explodujących kul i zadzierżystych bagnetów piłowych, o rozrzucaniu w Rumunji zatrutych cukierków i rozsiewaniu zarazków chorobowych, o ucinaniu chłopcom małym prawych rąk, by nigdy w życiu przeciw Niemcom walczyć nie mogli, by kiedyś po latach nie służyli w wojnie na nich mścicielskiej; wspomnijmy topienie statków bezbronnych, szpitalnych i pasażerskich, ostrzeliwanie rozmyślne szpitali **Czerwonego Krzyża**, zasłanianie podstępne atakujących żołnierzy przez pędzone przed nimi obce sanitarjuszki i sanitarjuszy czerwonokrzyskich i tyle — tyle innych sposobów znęcania się nad przynależnymi do nieprzyjaciela; wspomnijmy nieludzkie rabowanie okupowanych krain ze wszystkiego, co się zabrać dało, a w którym rabunku brali udział nawet oficerowie, nawet wodze — sam kronprync nawet w tem uczestni-

czył! To są rzeczy takie, iżby się im wierzyć nie chciało! A jednak są one prawdą historyczną wszelkiemi dokumentami, ba zdjęciami fotograficznemi stwierdzoną i pozostanie ta prawda o Niemcach na wieczną rzeczy pamiątkę, jako hańby pieczęć na tych, co w taki sposób prowadzili wojnę.

*

Ale nie koniec na tych szczegółach: są jeszcze lepsze i szczególnie ciekawe wyrafinowanego okrucieństwa niemieckiego przejawy, odkryte w ostatniej fazie Wojny Wielkiej, mianowicie, znalezione na terenie odebranym Niemcom w zwycięskiej ofenzywie aljanckiej. Oto na terenie owym — typowo rolniczym, posiadającym — niegdyś! — do niedawna, wspaniałe winnice i sady — Niemcy powycinali wszystkie drzewa owocowe, winograd pozasypywali u korzenia gorzką solą, a rolne, znakomicie uprawne pola porozrywali nabojami dynamitowemi na nieprzejrzanych przestrzeniach, by je na długo uczynić niezdatnemi do uprawy. Żadnych do tego powodow strategicznych nie było; role mogły pozostać bez rycia ich, drzewa, jakieby zostały nieuszkodzone, też przecie nie przeszkadzały, jak również nisko rosnące winnice: zatem skoro je Niemcy psuli — to czynili to tylko i wyłącznie z rozmysłu szkodzenia, psucia, z wyrachowania niszczycielskiego, które się lęgło w degenerackich mózgach komenderujących robotą taką ich oficerów — podobnie jak i owe piekielne pomysły, iż pozostawiano, uchodząc z miast i wiosek, po domach prywatnych ukryte bomby, zegarowo urządzone tak, iż dopiero w kilka godzin explodowały, powodując śmierć i rany żołnierzy aljanckich, wkraczających za Niemcami uchodzącymi, lub ludności, która do oswobodzonych domostw powracała... Czy można sobie wyobrazić więcej zbrodnicze wyrachowanie i więcej łotrowską metodę walki?!... Dla kompletu powiemy, iż stwierdzono po wsiach, miastach, dworach i inne jeszcze niemieckiej kultury przykłady; uchodząc — rąbali oni meble, urządzenia domów, kościołów, walali obrazy i darli obicia, a studni używali — za... klozety i składy nieczystości, by ich ludność i nieprzyjacielskie wojska używać nie mogły!

*

Wielu tych niemieckich metod walki doznaliśmy i my w Polsce na własnej ziemi i własnej skórze: lata upłyną, a szkód, wyrządzonych u nas przez Niemców w okresie Wojny, nie powetujemy, ani nie odzyskamy zapewne porabowanego nam mienia. Powinno to być dla nas dostatecznie dotkliwem przypomnieniem tego, cośmy Niemcom „winni", czego się ewentualnie od nich spodziewać możemy, jak nam więc asekurować się trzeba społecznie na przyszłość — może naprawdę niedaleką.

(A. Mickiewicz: „Grażyna").

Pomnijcie że...
Krzyżackiego (niemieckiego) gadu **nie ugłaszcze**
Nikt — ni gościną — ni prośbą — ni dary!
Małoż Prusaki i Mazowsza cary
Ziem, ludzi, złota — wepchnęli mu w paszczę?...
On, wiecznie głodny, choć pożarł tak wiele.
Ną resztę naszą rozdziera gardziele...
Wspólna moc tylko zdoła nas ocalić!
Przebrzydły Zakon (Niemcy) podobny do smoku;
Jeden łeb utniesz, **drugi rośnie skoro,**
A ten ucięty **rośnie w dziesięcioro!**
Wszystkie utnijmy! Daremnie się trudzi,
Kto naszych szczerze chce godzić z Krzyżaki,
Bo czyli z kniaziów, czyli prostych ludzi
Na Litwie (w Polsce) całej nie najdzie się taki,
Coby ich nie znał chytrości i dumy,
Nie stronił od nich, jak od krymskiej dżumy!
Coby nie wolał stokroć od ich broni
Raczej śmierć w polu, niźli pomoc zyskać,
Raczej — żelazo rozpalone w dłoni,
Niźli krzyżacką prawicę uściskać!!!...

k. w.



Jak sobie Karykaturzysta amerykański, W. Kravie przedstawia zakusy niemieckie o „Korytarz Gdański" i intrygi z rządem dawniejszym, Heriota we Francji.

Nowe zwycięstwo Medycyny.

Leczenie diabetu — (cukrzycy) — sposobem D-ra Chabanier.

Organizm ludzki słusznie bywa porównywany do parowej maszyny, gdzie ciepło, powstające ze spalenia pewnej ilości węgla, przekształca się w ruch i pracę mechaniczną. Rzeczywiście — ujawniono, że zużywa on w ciągu 24-ch godzin swej pracy organicznej — 2.400 kaloryj — jednostek ciepła), — powstających ze spalania cukru, lub glucozy, które wytwarzają się wskutek trawienia naszego pokarmu, oraz odpowiednich reakcyj chemicznych.

Należy przytem zaznaczyć, że w zależności od zawartości cukru, nasze produkty spożywcze mogą być podzielone na trzy grupy:

proteines — mięso, białko zwierzęce i roślinne i t. d. — dają one 350 kaloryj ciepła;

graisse — tłuszcze — dają 850 kaloryj ciepła i

hydrate de carbone — krochmal, cukier i t. d. — dają ją 1.200 kaloryj ciepła, czyli połowę energji cieplnej niezbędnej dla życia w ciągu 24-ch godzin.

Otóż przy normalnym stanie zdrowia cukier spala się we krwi doszczętnie i nagromadza się w ilościach nieograniczonych w wątrobie i mięśniach, jako zapasy paliwa.

Z chwilą, gdy na skutek zaburzeń fizjologicznych ilość cukru niezbędna dla ogrzania ciała się zmniejsza, powstaje okres tak zwnego stanu diabetycznego, przy którym nie spalony cukier gromadzi się we krwi w coraz większych ilościach, a więc 4 — 5 gramów na litr krwi — i pociąga za sobą objawy: — obrażenia skóry — (diabetides) — porażenia siatkówki oka — (retinite) — chorobę arteryj — (gangrena) i t. d.

Przy dalszem nagromadzeniu się cukru we krwi, nerki przestają funkcjonować normalnie i cukier ujawnia się w coraz większych ilościach w moczu czyli rozpoczyna się okres tak zwanej cukrzycy — (glycosurie).

W dalszych konsekwencjach nagromadzenia cukru w ilości 150 — 200 gr. cieplota ciała zmniejsza się o 700 — 800 kaloryj, co stanowi $^{1}/_{3}$ część ilości potrzebnej dla życia; wtedy chory zaczyna usilnie jeść i pić; objaw ten jest dobrze znany lekarzom — lecz, niestety, przemija bez korzyści dla zdrowia chorego, który zaczyna wydawać własne zapasy tłuszczu i białka, czyli, jak mówią, — „zaczyna zjadać sam siebie“, — w końcu mizernieje, traci siły i wpada w stan śpiączki — (como diabetique) — w czasie której, na skutek bezwładności organizmu, krew zaczyna się rozkładać, powstaje silny jad — „aceton“, który go ostatecznie zabija,

Takim jest w głównych zarysach przebieg diabetu, szeroko rozpowszechnionego i jak dotąd nieuleczalnego.

Co prawda znane są pewne środki zapobiegawcze i lecznicze, które na razie działają dość skutecznie, lecz, niestety, są to paljatywy, które nie sięgają do źródła zaburzeń chorobotwórczych.

Tymczasem badania naszych gruczołów wewnętrznych, rozpoczęte — od kilku lat zaledwie, odrazu pchnęły sprawę leczenia diabetu na nowe tory i dały wyniki wprost zdumiewające: — ujawniono więc, że wątroba, śledziona i gruczoły jamy ustnej, żołądka i inne — poza wytwarzaniem soków specjalnych, które, przy pomocy odpowiednich przewodów, zasilają różne organy w celu wywołania w nich odpowiednich przemian chemicznych, tworzą swoiste wydzieliny wewnętrzne — (secrection interne), — które dostają się do krwi bezpośrednio i przy jej pomocy wpływają na powstawanie pewnych funkcyj fizjologicznych, których treść nie zawsze daje się ująć w formy konkretne.

Stwierdzono, że gruczoły — „thyroide" — mają związek z powstaniem tak zwanego — „wola", — gruczoły — „surrenales" — regulują ciśnienie krwi i że karły i olbrzymy są pozbawione gruczołów — „sous encephalique".

Tak samo gruczoł żołądkowy — „pancreas", — poza wytwarzaniem soków, które przez „kanał Wirsunga" — dostają się do kiszek, dają też wydzieliny, czyli tak zwaną insulinę, która dostaje się bezpośrednio do krwi i wpływa na proces spalania w niej cukru.

Zasługa powyższego odkrycia należy do klinisty francuzkiego — Lencefeaux, który w końcu ubiegłego stulecia uzależnił powstanie diabetu od zaburzeń — gruczołu pancreas, co zostało wkrótce stwierdzone przez D-ra M. Hedona w sposób doświadczalny, przez wywołanie diabetu u psów na skutek chirurgicznego usunięcia wskazanego gruczołu.

To samo, lecz w sposób więcej przekonywający, stwierdził Dr. Lageuse, któremu udało się przewiązać kanał Wirsunga i w ten sposób zahamować czynności zewnętrzne gruczołu, nie naruszając jego czynności wewnętrznych.

W 1921 roku — Shafer — zaczął zbierać insulinę dla celów experymentalnych, nadając jej wskazaną nazwę od łacińskiego — „insula".

W 1922 roku uczeni kanadyjscy, Mac Leod i Banting po raz pierwszy zaczęli stosować insulinę przy leczeniu ludzi, a jednocześnie we Francji — H. Chabanier, Loba-Onel i panna Lebert w szpitalu Neckera, spreparowali insulinę, skuteczniejszą i tańszą i w 1923 roku podali do ogólnej wiadomości sposób jej preparowania.

Obecnie — nowe badania Dra M. Chabanier dały wyniki — wprost zdumiewające i godne zaznaczenia: — wykazał on, że insulina, preparowana dotychczas, nie była czystą, zawierała substancje postronne i że nie znając jej właściwego składu chemicznego, nie można było unormować dozy zastrzyku.

Pozatem doświadczenia, dokonane przez Dra Chabaniera na królikach, wykazały, że silne dawki insuliny, wywołujące energiczne spalanie tkanek i stan — „glycemji", były o tyle silne, że królik dostawał konwulsyj i chcąc ratować jego życie, wypadło zastrzykiwać mu cukier.

Objaw powyższy stał się znamiennym i podstawowym, tak że obecnie egzystują dwa sposoby leczenia diabetu: — pierwszy kanadyjski, Mac Leoda i Bantinga — polega na stosowaniu surowej djety, wzbranianiu pokarmów, zawierających cukier, białko i tłuszcz, w celu niedopuszczenia do wytwarzania się acetonu, oraz na zastosowaniu insuliny w dawkach minimalnych; — drugi sposób — Dra M. Chabanier, który leczy wręcz przeciwnie: — silna dawka insuliny wstrzymuje odrazu cały proces chorobotwórczy, a wtedy zastosowuje się usilne odżywianie w celu odzyskania sił utraconych i zapasów cukru. Doświadczenie wskazało, że na 50.000 wypadków leczenia powyższym sposobem — wyniki były nad spodziewanie pomyślne: — hyperglycemia i glycosuria ustają nagle, aceton nie daje się wykryć ani we krwi ani w moczu, a chory nabiera sił i zdrowia; — niewyraźne skutki leczenia powyższym sposobem były zanotowane tylko w 7 wypadkach.

Pozatem dr. Haden dokonał nader ciekawego doświadczenia klinicznego: — pies, chory na diabetes, wskutek usunięcia gruczołu pancreas, — po zastrzyknięciu silnych dawek insuliny, został uleczony z hyperglycemji, stracił resztki acetonu, lecz nie mógł powrócić do dawnych sił i dobrego stanu zdrowia: — zastosowano silne odżywianie i pies odzyskał zdrowie.

A jednak jeśli postawić pytanie — czy diabetes jest dziś uleczalny zupełnie? — narazie odpowiedź twierdząca byłaby przedwczesną.

Wskazane powyżej wyniki doświadczeń Dra M. Chabanier wymagają dalszych obserwacyj w przeciągu dłuższego, niż dotąd, czasu, więc co najmniej lat kilku, nie mniej można już teraz twierdzić z całą stanowczością, że nawet przy zniszczeniu wewnętrznych komórek pancreasu, staje się możebne, przy pomocy odpowiednich dawek insuliny, podtrzymywać organizm chorego i dać mu możność odpoczynku i powrotu do sił utraconych.

O JAGLICY,

JAKO ENDEMICZNEJ CHOROBIE OCZU W POLSCE.

Napisał Prof. Dr. J. Szymański z Wilna.

Endemją nazywamy chorobę, która zagnieżdża się w pewnej okolicy i przez długie lata stale tam pozostaje. Jaglica jest właśnie jedną z tych endemij, która szczególniej rozpowszechnia się na Mazurach, Mazowszu i w Prusach, aczkolwiek jest dostatecznie rozpowszechniona i w innych częściach Kraju. Poza Polską głównem siedliskiem tej zarazy ocznej jest Egipt — stąd też powstała i jej nazwa „egipskiego zapalenia oczu". Dużo jaglicy spotyka się także w Syrji i w Rosji, a stosunkowo mało w zachodniej Europie, w krajach, gdzie ludność dba więcej o czystość.

Z Europy jaglica została przeniesiona do krajów nowego świata, do Ameryki, która obecnie broni się od tej zarazy, przez niedopuszczanie do swego kraju emigrantów, chorych na jaglicę i tak jest w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i w Argentynie.

Polska nazwa jaglicy pochodzi od podobnych do jagieł grudek podpowiekowych, spotykanych przy tej chorobie. Spojówka, czyli błona śluzowa powiek, staje się rozpulchnioną pod wpływem zarazka, pokrywa się brodaweczkami i trze rogówkę oka, wskutek czego jeszcze za czasów greckich choroba ta została nazwana „trachomą", co oznacza po grecku szorstkość i tarcie. W rozwoju swym oczy jaglicowe dają z początku wiele wydzieliny, czyli tak zwanego potocznie kataru, w tym czasie oczy swędzą, co pobudza chorego do tarcia ich palcami, przez co wprowadza się nowe zarazki i stan się pogarsza. Jest to okres wilgotny, czyli moknący i najbardziej zaraźliwy, ponieważ wydzielina z oka jaglicowego, przeniesiona w jakikolwiek sposób na zdrowe oko, zakaża je i powoduje jaglicę. Okres następny, tak zwany suchy, charakteryzuje się bliznami, mniejszą ilością wydzieliny i jest mniej zakaźny.

Sposobów zakażenia zatem jest mnóstwo: zakaża się przez podanie ręki niechlujnemu jaglicowemu, który może mieć wydzielinę na palcach, jeżeli ocierał niemi oczy; zarazić się mo-

żna przez pieniądze, dotykając po ich liczeniu oczu nieumytemi palcami; można się także zarazić przy wsiadaniu do tramwaju lub wagonu, dotykając poręczy, którą trzymał uprzednio jaglicowy; najczęstszym jednak sposobem zarażenia jest mycie się we wspólnej miednicy i ocieranie się wspólnemi ręcznikami. Skutkiem tego jaglica należy do tak zwanych chorób domowych, ponieważ najczęściej zaraża się cała rodzina, jeżeli jest w niej choć jeden członek, chory na jaglicę. Z drugiej strony widzimy lekarzy, a szczególnie okulistów, którzy wciąż mają do czynienia z jaglicznymi chorymi — sami jednak nie zarażają się, a to z powodu, że, znając niebezpieczeństwo, zachowują konieczną czystość rąk po każdem zetknięciu się z chorym.

Dzieci w szkołach szczególnie łatwo zarażają się przez zetknięcie się bezpośrednie, które wzmaga się przy płaczu, ponieważ wtedy ilość wydzieliny zwiększa się i przy zetknięciu zaraża inne dzeci; to też trzeba uczyć dzieci, aby nie dotykały nigdy oczu palcami.

Jaglica z łatwością może się dołączyć do każdego zapalenia oczu, z tego więc powodu należy nie zaniedbywać nawet lekkiego kataru oka, aby uniknąć nieszczęścia: nieszczęścia — tak, bo inaczej nie można nazwać jaglicy, a to z tego powodu, że choroba ta nigdy sama nie ustępuje i bez leczenia ciągnie się aż do śmierci, rujnując powoli oko, ten najcenniejszy narząd zmysłu; a obok tego zarażając wciąż otoczenie.

Ta przewlekłość schorzenia, głębokie zmiany w tkankach oka i powiek, które czasem się odwijają, lub podwijają i trą rzęsami rogówkę, często prowadzi ostatecznie do ślepoty.

Leczenie jaglicy, długie i uciążliwe, uskutecznia się indywidualnie i masowo. Z zarządzeń ogólno-państwowych w wal- z jaglicą najważniejszym aktem jest urządzenie oddziałów dla dzieci jaglicznych w ochronach sierocych. Takie oddziały już są czynne, i znajdują się pod kontrolą kierowników klinik uniwersyteckich. W wojsku tworzy się kompanje jagliczne, w których chorzy żołnierze, oddzieleni od zdrowych, przechodzą naukę i leczą się jednocześnie.

Jaglica jest to choroba biedaków i rozwija się w mało kulturalnem środowisku — to też w walce z jaglicą podniesienie oświaty ludności zarażonej okolicy odgrywa pierwszorzędną rolę.

Czytanie na Odległość.

Pośród „cudownych" zjawisk z dziedziny metapsychicznej, które w ostatnich czasach wzbudzają powszechnie tak duże zainteresowanie, wybitne miejsce zajmuje zdolność odgadywania cudzych myśli, oraz odczytywania pisma w warunkach, niedostępnych dla ludzi.

Znane są u nas szeroko eksperymenty, robione przez p. Ossowieckiego. Zainteresowały one świat naukowy za granicą i dziś powołują się na nie najpoważniejsze pisma fachowe. Wspomina o nich również artykuł, zamieszczony w lipcowym zeszycie miesięcznika „Lectures pour tous" p. Armanda Rio, omawiający nowe ciekawe próby, robione przez francuskich i niemieckich uczonych z medjum, nazwiskiem Ludwik Kahn, obdarzonem niezwykłą zdolnością czytania na odległość.

Nazwiska uczonych, jak również sposób dokonywania doświadczeń, wyklucza możność jakichkolwiek nadużyć, szczegóły zaś tych doświadczeń nadają im wysoce interesujące oświetlenie.

Poniżej podajemy w streszczeniu parę opisów:

Pierwsze doświadczenie dokonane było w obecności profesorów francuskich Leclainche'a i Valle, oraz Dyrektora Instytutu Metapsychicznego w Paryżu, dra Osty.

Sporządzony został protokół, z którego dowiadujemy się, co następuje:

Cztery z pośród obecnych na seansie osób, mianowicie: prof. Leclainche, pani Leclainche, dr. Osty i pani Vallée, napisały osobno po parę słów na kawałkach białego papieru, który następnie złożyły starannie.

Kahn był nieobecny w pokoju. Gdy go wprowadzono, każda z wymienionych osób trzymała swą kartkę w ręku. Kahn posadził je rzędem obok siebie, poczem poprosił, by dr. Osty zebrał kartki, zmieszał je razem i rozdał każdemu po jednej.

Gdy to zrobiono, Kahn stanął przed panią Leclainche, wziął z jej rąk kartkę, zbliżył do czoła, poczem oddał, mówiąc: „zrobione".

Następnie stanął przed dr. Osty, siedzącym z brzegu, trzymając w prawem ręku ołówek, w lewem zaś papier, na którym zaczął coś gorączkowo kreślić.

Przez chwilę zastanawiał się, poczem powiedział:

„Ma pan w ręku zdanie, które pisał kto inny; zdanie to brzmi: „niebo jest czarne". Zaraz potem zwrócił się do prof. Leclainche, wykonał kilka kresek ołówkiem, i znów powiedział: „Kartkę, którą pan trzyma, pisał pan sam. Napisane: „Tuberkuloza pochodzi od bakcylów Kocha". Prof. L. rozwinął kartkę i odczytał: „Tuberkuloza pochodzi od bakcylów Kocha".

Z kolei przechodząc do pani Leclainche, Kahn popatrzył na nią przez parę sekund, poczem wrócił do dr. Osty.

„Ta pani — powiedział — trzyma kartkę, którą pan pisał. Zaraz panu powiem, co tam napisane. Jest tam. . . jest tam: „Podróż jest dużą przyjemnością". Nie widzę ostatniego słowa. „Daje ona poczucie prz..?"

Pani L. sprawdziła treść kartki: „Podróż jest dużą przyjemnością. Daje ona poczucie przestrzeni". Warto zauważyć, że piszący to zdanie, chciał w pierwszej chwili co innego napisać. Dopiero pisząc już pierwsze słowo, zmienił zamiar.

W końcu przechodząc do pani Vallée, Kahn bez namysłu powtórzył: „W którym roku powie on Ojcze?" Na kartce rozwiniętej było właśnie to zdanie, skreślone ręką pani Leclainche.

Czas, w przeciągu którego Kahn odczytał wszystkie cztery kartki, nie przekraczał pięciu minut.

Podobny zupełnie opis podaje dr. Schottelius, który osobno wykonywał w Niemczech doświadczenia z Kahnem.

Napisał on, podczas nieobecności Kahna, trzy różne zdania na trzech kartkach; dwie z nich wziął w prawą rękę, jedną trzymał w lewej, przyczem, jak zaznacza, nie wiedział sam, która w jakiem ręku się znajduje.

Przywołany Kahn prosił, by jedną kartkę położyć gdziekolwiek osobno, pozostałe zaś trzymać. Następnie zapytał, którą kartkę ma najpierw odczytać. Sam usiądł z boku, nie patrząc na Doktora; wzrok miał zwrócony w górę; był blady. W ręku trzymał ołówek, którym kreślił coś na karcie notesu. Proszony, by odczytał kartkę z prawej ręki, przez chwilę myślał z wysiłkiem, poczem zaczął odczytywać zdanie, nieco przekręcając wyrazy. Dr. S. poprawił mu pierwszą i ostatnią literę zdania. Wówczas Kahn powtórzył prawidłowo całe zdanie, wzięte z talmudu. „Afar atą veel afar teschub".

Według słów Kahna, widzi on pismo wyraźnie, lecz nie jaskrawo, na ciemnem tle nieograniczonem, niekiedy, zaś, przybierającem kształt kartki papieru.

Przy odczytywaniu główną uwagę zwraca nie na kształt, lecz na samo pismo, które widzi w naturalnej wielkości, choć nie mógłby określić jego oddalenia.

Artykuł przytacza dalej wrażenia profesorów: Richet'a, Heymana, Cuneo, Gosseta i innych, którzy na podstawie podobnych doświadczeń, robionych z Kahnem przez siebie, jednomyślnie potwierdzają jego nadzwyczajną zdolność.

Wyniki, osiągnięte przez tych uczonych w czasie doświadczeń, zainteresowały Międzynarodowy Instytut Metapsychiczny, który od kilku miesięcy prowadzi nad niemi badania. Przyczynią się one, niewątpliwie, do uzupełnienia wiadomości, jakie w tej, tak mało jeszcze pogłębionej dziedzinie nauka posiada.



Kaplica Szpitala Czerwonego Krzyża w Warszawie.

RADY ZDROWOTNE.

*

Pij dużo mleka, a mało — lub wcale nie pij herbaty i kawy.

*

Tęp muchy: to roznosiciele zarazy.

*

Czyszczenie zębów dwa razy dziennie — nie psuje im... emalji, a co do żołądka, bądź pewien, że na zdrowie ci to wyjdzie.

*

Zdrowie to bogactwo: nie bądźże co do zdrowia — przynajmniej — utracjuszem.

Szpital — czynnikiem uspołeczniającym.

Z prac H. Forda.

Wśród odwiecznych problemów życia społecznego istnieje, jak dotąd, ciągle jeszcze nierozwiązalny problem — dobrobytu i nędzy. W stosunkach społeczeństw zdaje się być ta nierównomierność źródłem wszelkiego zła, a osiągnięcie równowagi w ustosunkowaniu społecznem wcześniej czy później — jest koniecznością oczywistą. Istnieją przeróżne poglądy na tę sprawę — są zdania, iż nierówność społeczna, wynika z nierówności intellektualnych, wszystkie jednak opinje nie usuwają jeszcze ważności zagadnienia i ważności przedsięwzięć, zapobiegających złym owych różnic społecznych skutkom. Wiadomem jest wszystkim, że najsprężyściej i najrealniej do zasypania jakoby przepaści między plutokratyzmem a pauperyzmem wzięła się — Ameryka. Ona to, nauczona doświadczeniem Starej Ziemi zabrała się do tworzenia nowego życia, dbając w pierwszym rzędzie o to, by nie dopuścić do rozwinięcia się hydry nędzy, niszczącej życie, — a jeśli dotąd nie osiągnęła dosłownego pod tym względem ideału, to w każdym razie niwelowanie nierówności — nie w pojęciu ściągania wyższych do niższych, ale przeciwnie, podciągania niższych ku wyższym— jest kardynalną zasadą społeczną Ameryki, jest jej sukcesem niezaprzeczonym: walka o dobrobyt wypływa tam nie z prostego zwierzęcego instynktu walki o byt, ale z niewyczerpanego ukochania życia.

Wspaniałym przykładem tego ideału społecznego Ameryki jest szpital, wzniesiony w 1918 r. — przez H. Forda, znanego społecznika, działacza amerykańskiego. Szpital ten jest konkretną realizacją ideału powszechnego dobrobytu — w całem tego słowa znaczeniu.

Celem jego jest służba wszystkim — potrzebującym na jednakowych warunkach i w jednakowy sposób — bez względu na finansowe sytuowanie chorego: tak dobrze usługiwać bogaczy, jak niezamożnych a nie robić z tego jałmużny, lecz najprostszy obowiązek społeczny — oto zasada tego szpitala. W wypadkach niemożności wypłacenia się chorego wynajdują

mu najrozmaitsze sposoby zrekompensowania się instytucji, a nieodstępnie trzymają się słusznej zasady, by — nic „za darmo" nie dawać.

H. Ford według typowo amerykańskiej idei twierdzi, że jałmużnicze rozdawnictwo jest tylko dobrowolnem szerzeniem zła i coraz dalszem brnięciem w pauperyzm społeczny.

Krótka historja tego szpitala H. Forda przedstawia się, jak następuje: W 1914 r. społeczeństwo miasta Detroit (Stan Michigan, Stany Zjednoczone) powzięło myśl ufundowania wspólnym kosztem Szpitala Powszechnego dla miasta tego; zebrany fundusz okazał się jednak wystarczającym tylko na założenie małego, niepokaźnego budynku, nie odpowiadającego wymaganiom nowoczesnej techniki szpitalnej, — przejął wtedy udziały tego rozpoczętego przedsiębiorstwa H. Ford, który z kolei rzeczy przystąpił do zreformowania szpitala według swych indywidualnych pojęć. Od roku 1918 do 1919, ledwie wykończony szpital oddany został na użytek Państwa z powodu wojny, lecz w 1919 r. przejął go znowu jego właściciel, który odtąd rozpoczął tam prawdziwie realną robotę. Szpital zajmuje 8 hektarów powierzchni — mniej więcej w centrum miastą Detroit i dzieli się na dwa zabudowania: pierwsze — mniejsze, które zastał Ford, przejmując szpital, oraz — drugie, według jego planów i jego funduszami wzniesione — olbrzymie!

Mniejszy gmach zawiera małe sale i pokoje, przez Forda niezmienione, większy, według planu Forda skonstruowany, składa się z 336 pokoi, identycznie jednakowych, z łazienkami przy każdym pokoju, z rozkładem i urządzeniem niezwykle praktycznie obmyślanem; pokoje rozmieszczone są szesnastkami po obu stronach korytarzy, a schodzą się promieniście do centrum administracyjnego; dzięki takiemu rozplanowaniu możebne jest promieniste powiększanie się szpitala w miarę potrzeby. Pokoje wszystkie mają jednakowe umeblowanie, jednakowe rozmiary, — specjalne względy i dostosowywania do szczególnych wymagań chorego mogą być uznawane tylko w wypadkach wyjątkowego rodzaju choroby.

Zresztą — szpital H. Forda wygląda, jak każdy inny, a szczególną doniosłość i sprawność swą zawdzięcza jedynie linji wytycznej, po której go Ford rozwija. Jeśli chodzi o stan szpitala, jako interesu — to dotąd szpital ten jeszcze nie utrzymuje się z własnych dochodów; możnaby dojść do tego ściąganiem wyższej opłaty, czemu jednak Ford stanowczo się sprzeciwia, utrzymując, iż z biegiem czasu rozszerzenie i udoskonalenie administracji doprowadzi do równowagi budżetowej, a nawet pozwoli na wprowadzenie pewnych ulg.

Wewnętrzna organizacja szpitala jest również ściśle programowa, a praktyczna jak zewnętrzna konstrukcja szpitala. Około 80-u lekarzy i chirurgów oddanych jest wyłącznie na usługi szpitala. Lekarze i chirurgowie naczelni mają dyplomy z Uniwersytetu John Hopkins, jednego z najlepszych w Ameryce; ponieważ jednak zarząd szpitala usilnie stara się o wszechstronność sił, znajdują się między lekarzami szpitala i dyplomowani z innych uniwersytetów Stanów Zjednoczonych oraz z Kanady, a są i tacy, co posiadają dyplomy podwójne: krajowe i zagraniczne. Według zasady fordowskiej, która przedsiębiorcom każe w ich własnym interesie dobrze opłacać pracowników, bo twierdzi, że można pogodzić wysoką płacę pracownika z zyskiem dla przedsiębiorcy, ze względu na wzmożoną produkcję, dobrze opłacanych, pracowników — lekarze szpitala fordowskiego opłacani są tak, że odpowiada to sumie, jaką mogliby osiągnąć z dobrej praktyki prywatnej. Ford tworzy ze swych lekarzy niejako zastępy propagatorów swojej idei — nie zatrzymuje ich długo u siebie, bo chce, by również poza obrębem szpitala lekarze z jego „szkoły" krzewili ideę bezwzględnie jednakowego odnoszenia się do wszystkich chorych — bo wszyscy jednakowo uprawnieni są do życia i do czerpania sił życiodajnych, a korzyści, związane ze swoją pracą, prawdziwie dobry lekarz widzieć winien na ostatnim planie, jeżeli społeczeństwo daje mu dość na własnych jego potrzeb życiowych należyte opędzenie.

Oprócz lekarzy ma szpital Forda zastęp dyplomowanych pielęgniarek; otrzymują one za 8-o godz. dzień pracy po 6 dolarów, a każda z nich ma 6-u do 8-u chorych, zależnie od stanu zdrowia pacjentów; w czasie służby pielęgniarki, jak wogóle cały personel, podlegają surowemu rygorowi. Chorzy sygnalizują swe żądania automatycznem zapaleniem światła w centralnej hali, które zgasić wolno pielęgniarce dopiero za wejściem do pokoju chorego. Dla pracowników swych Ford daje możliwie najlepsze warunki — wymagania są ściśle, bezwzględnie surowe, ale też odnoszenie się do pracowników zgodne z najszerzej pojętym humanitaryzmem.

Szpital ma nie tylko swoich stałych chorych, ale i poradnię dla przychodzących. Badają tam członkowie personelu szpitalnego wyłącznie za opłatą, z góry wyznaczoną przez stały cennik, stosownie do postawionej djagnozy. Dozór lekarski dziennie wynosi 3 dol., pominąwszy dozór po operacji, który jest bezpłatny. Pokoje w nowej części szpitala kosztują po 8 dolarów dziennie, z utrzymaniem i usługą pielęgniarek włącznie — maximum ceny dojść może do 11-u dol. dziennie.

Niezwykle sympatycznym objawem jest zażyłość między chorymi, a personelem szpitalniczym. Zarejestrowani chorzy przychodzą często pod swój stały numer szpitalny jeszcze po wyjściu ze szpitala, jak do rodziny, odwiedzają swych lekarzy dla poddania się, sprawdzającym stan zdrowia, oględzinom szczegółowym i t. p. Konieczność oraz doniosłość takich oględzin usilnie wszczepia szpital Forda w swych pacjentów; oględziny te pozyskały już wielkie uznanie, dzięki dobrodziejstwom, jakie przynoszą, odkrywając zawczasu, częstokroć niedostrzeżone zrazu uchybienia i wady organizmu, lub choroby w zawiązku. Zdarzyło się, że pewien fabrykant z Detroit przyszedł do szpitala z okaleczeniem palca, a szczegółowe badania wykazały, że człowiek ów miał silnie zaatakowane serce, zapalenie gruczołów migdałowych i 4 wrzody pod trzonami zębowemi.

Jedną z ostatnich cech, uzupełniających opis ogólnego charakteru szpitala fordowskiego, jest jeszcze — niezwykłe liczenie się ze słabostkami, tak indywidualnemi, jak i fizycznemi chorych. Przeróżne stany: rękodzielniczy, roznosiciele gazet, bogacze, fabrykanci, ludzie wyższej i niższej kultury umysłowej, przeróżne narodowości, niezliczona różnorodność typów — znajdują tu uszanowanie godności osobistej, bez względu na wszelkie okoliczności uboczne. Drobnym tego przejawem jest zwyczaj zamykania pokoi przez każdego z chorych — wolno doń wchodzić tylko lekarzowi i pielęgniarce dla wypełnienia obowiązków, oraz osobom — pożądanym przez chorego, pozatem chory ma zupełną swobodę, komfort prywatnego mieszkania i wygodę najdoskonalej pojętą.

W istocie — jedyny to w swym rodzaju szpital w świecie!

Śpij dostatecznie długo — przy oknach otwartych, a zamykaj — usta.

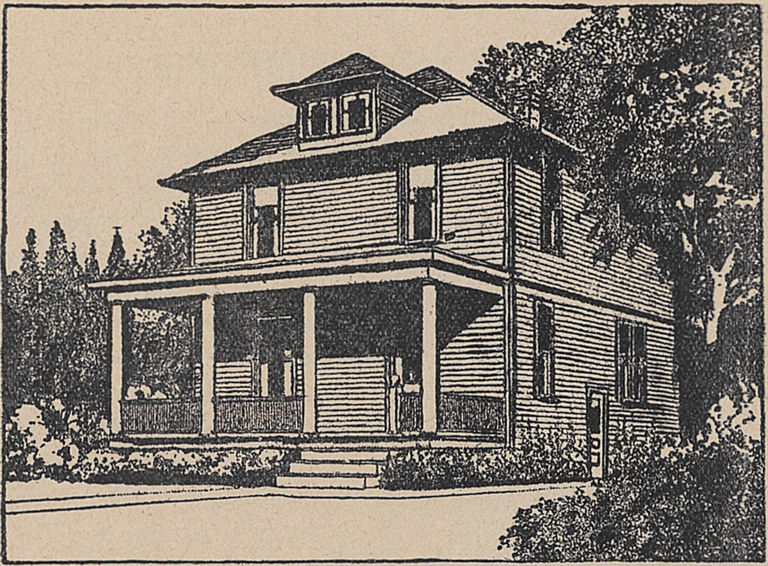
*

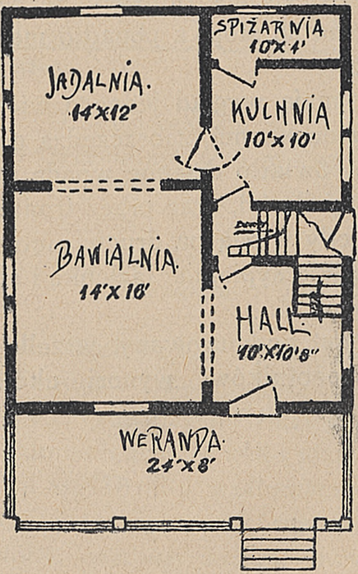
Wiedz, skąd idzie woda, którą pijesz i pij ją tylko z dobrych źródeł; inaczej łatwo ci będzie powiedzieć, dokąd pójdziesz rychło — ty sam.

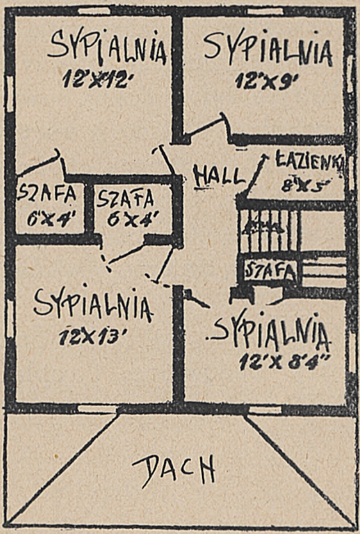
*

Kąp się — nie tylko w soboty, jak u nas bywa, a częściej, gdy tylko możesz.

Plan nowoczesnego domu mieszkalnego.







Plan
nowoczesnego domu mieszkalnego.

Hygjenę mieszkania, wygodę — zdrowie i zadowolenie dać może — stosunkowo niewielkim kosztem plan powyższy domu: może się przyda komu z naszych Czytelników, jeśli się nosi z myślą budowy własnej rezydencji. Typ to domu zagraniczny; domów takich, miasta całe, buduje się w Ameryce od dawna, a od czasu Wielkiej Wojny buduje się je także we Francji, Belgji, Włoszech i w Niemczech; wartoby je i do Polski wprowadzić i stosować jak najpowszechniej przy odpowiedniem tutejszych krajowych warunków i potrzeb uwzględnieniu.

Typ domu, na pierwszy rzut oka zwyczajny, w wykonaniu przedstawia się bardzo elegancko. Weranda, jaka widnieje na przodzie domu, harmonizuje ze stylem dachu, a wygląd, choć skromny, ale ujmuje prostotą linji i wdziękiem rozmiarów.

Orjentując się podług planów, Czytelnik zauważy, że pokoje: bawialny i jadalny mają długość 28 stóp, a ponadto mają sporo miejsca wolnego między sobą.

Kurytarzyk i pokój bawialny mają wygląd jednego wielkiego pokoju. Wejście z kurytarza do kuchni, zaoszczędza gospodyni bezpotrzebnego chodzenia. Światło dzienne wpada do wnętrza obficie przez okna pełnej wielkości, oraz przez frontowe drzwi, zaopatrzone szybą. Schody wiodą na drugie piętro, gdzie mieszczą się cztery widne, wielkie sypialnie, łazienka i alkierze.

Cena domu, wliczając fundament podmurowany, wszelkie materjały budowlane i opłatę robotników, wynosi około 15.000.000 złotych.

ROZMAITOŚCI.

Z BADAŃ NAD GRUŹLICĄ.

Dr. Y Ito: Częstość gruźlicy u dzieci szkolnych, wykazana na podstawie reakcji Pirqueta. Japońskie pismo, poświęcone badaniom dzieci **Jido Keukyn** (Przegląd hygjeniczny) podaje:

Dr. Ito wykonał w szkołach elementarnych w Fukuoka na 442 dzieciach w wieku od 13 do 15 lat skórne szczepienia tuberkuliczne. Rezultat był następujący:

Szkoły	Ilość badanych	Płeć	Reakcja ujemna w liczbach	Reakcja ujemna w %	Reakcja dodatnia w liczbach	Reakcja dodatnia w %
A	82	ż.	41	50	41	50
B	90	m	48	53,3	42	46,7
C	56	m.	28	50	28	50
D	41	ż.	23	56,1	18	43,9
E[1]	100	m.	54	46	46	46
E[2]	73	ż.	33	45,2	40	54,6
Razem	442		227	51,4	215	48,6

Odsetki reakcji pozytywnej wahają się między 43.9 a 56.1 prc. (przeciętnie 48.6 procent).

	Liczba badanych	Dodatnia reakcja w liczbach	Dodatnia reakcja w %
Chłopcy . .	246	116	47,2
Dziewczęta .	196	99	50,5

Z tych badań wynika, że prawie połowa dzieci szkolnych w Fukuoka była gruźlicza. Osiągnięty stosunkowo mniejszy procent gruźliczych dzieci japońskich w porównaniu z dziećmi w szkołach austrjackch i niemieckich, badanych tą samą metodą stara się Dr. Ito wytłumaczyć w ten sposób, że przedsiębrał tylko jednorazowe skórne szczepienie. Szczepienie powtórne dałoby, według autora, o wiele większe odsetki dodatniej reakcji.

JAD KĄKOLU.

Wśród złotych zboża łanów widnieją niekiedy gęsto rozsiane, piękne, jasno purpurowe, czteropłatkowe kielichy kąkolu, tej plagi rolników. Bo kąkol nietylko jest utrapionym chwastem, zagłuszającym zboże, które mu daje schronienie, może on się stać nawet niebezpiecznym, zwłaszcza gdy występuje w wielkiej ilości, bo zawiera jad, t. zw. **gitaginę**, bardzo szkodliwą tak dla ludzi, jak i dla zwierząt. Już mała domieszka kąkolu do chleba wystarcza, by wywołać nudności, ból głowy, nieprzyjemne uczucie w gardle i kaszel. Jako dalsza faza choroby występują zmiany w przewodzie pokarmowym, ociężałość, biegunka, wreszcie kurcze i śmierć. Oczywiście, że nie zawsze przebieg jest gwałtowny

Nie wszyscy wiedzą, że nasiona kąkolu są jednak bardzo bogate w białko o wielkiej wartości pożywnej. Trzeba tylko usunąć z nich łuskę i zarazek, gdzie mieści się gitagina, albo zniszczyć ją przez wyprażenie ziarn. Wówczas z kąkolu można otrzymać nadzwyczaj smaczną mąkę, zdatną nawet do wypiekania chleba, albo jako przydatek do paszy dla bydła.

Najpewniejszym wszelako środkiem zapobieżenia otruciu kąkolem, którego wypadki, po wsiach szczególnie, są częstsze, niż to powszechnie przypuszczają, jest dokładne czyszczenie nasion zbożowych i wybieranie tylko takich, które są wolne od kąkolu.

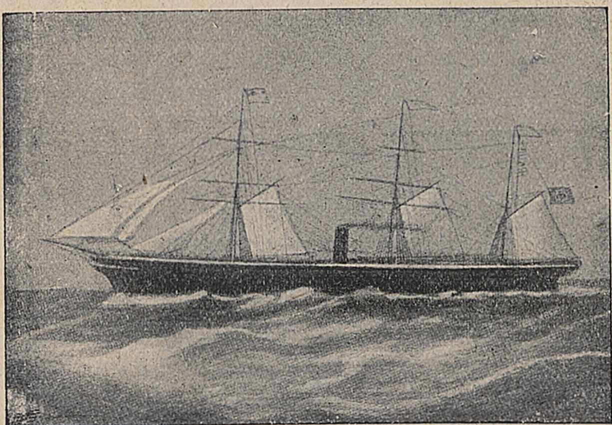
WPŁYW ZIMNA NA ORGANIZM LUDZKI.

Raul Pietet, słynny chemik i fizyk, mieszkający swego czasu w Berlinie, prowadził badania nad wpływem zimna na organizm ludzki. Miał on w swoim zakładzie potężne przyrządy do oziębiania powietrza i potrafił temperaturę doprowadzć do 100°, a nawet do 110° niżej zera.

Robiąc doświadczenia w takiej atmosferze, przekonał się, że poza 62 stopniami niżej zera, nie działają już najgorsze przewodniki ciepła, jak wełna, wata, futro i inne. W takiej temperaturze żadna odzież nie uchroni już od zimna.

Pietet wpuścił na próbę psa, owiniętego w potężne futro, do studni, w którą wprowadził temperaturę 100 stopni niżej zera. Kiedy po 10 minutach wydobyto psa na wierzch, okazało się, że pies jest zupełnie zdrowy, a na podaną sobie strawę rzucił się nadzwyczaj łapczywie.

Uczony, widząc, że pobyt w tej atmosferze psu nie zaszkodził, postanowił sam spróbować, jaki też na niego wpływ wywrze chwilowy pobyt w 100 stopniach mrozu. Wszedł więc do studni, trzymając jednak głowę na wierzchu, by nie oddychać zbyt mroźnem powietrzem. Po pięciu minutach doznał odważny profesor gwałtownego szczypania na całem ciele, wytrzymał jednak do ośmiu minut. Gdy znalazł się na powierzchni ziemi, miał wrażenie, że jest po bardzo zimnej kąpieli i uczuł gwałtowny głód. Wróciwszy do domu, spożył obfity obiad z nadzwyczajnym apetytem. A dodać trzeba, że wskutek wytężonej pracy stracił zupełnie już od dłuższego czasu apetyt, powrót więc do niego był dla prof. Pietet'a miłą niespodzianką.



NA WOLNĄ CHWILĘ.

MORSKIE OKO.

Czemu, gdy księżyc wschodzi, jak mara spłoszona
Staw stopionych szafirów w gór zapada spody,
I źrenica Tatr, oko marzącej przyrody
Spuszcza rzęsy mgieł — tonie wśród pomroku łona?

*

A księżyca twarz dziwna, smutna, zamyślona,
Wstrzymuje bieg tułaczy między skał obwody,
Patrzy długo w zakryte mgłą jeziora wody,
I blednie coraz bardziej — a nad ranem kona?

*

Może kiedyś ten księżyc młody i płomienny
Kochał ziemię i patrzał w jej źrenicę cudną,
Aż zdradzony dla słońca uciekł za świat dzienny...

*

Lecz zapomnieć kochanki swej młodości trudno!
Wiecznie ku niej powraca wygasły, bezsenny,
I blady patrzy na nią, jak w mgłę pierzcha złudną...

Franciszek Nowicki.



Dożynki — Repr. starego sztychu.

Rocznice Sierpniowe.

Sierpień jest miesiącem rocznic — najdonioślejszym dla odnowionej — niepodległej Polski.

Podobnie, jak miesiąc maj pozostanie na wieki wieczyste dla naszego Narodu opromieniony aureolą pamięci o nieśmiertelnej chwały Konstytucji, tak i w miesiącu sierpniu zawsze święcić będziemy pamiątki dni i spraw, złączonych nierozdzielnie z odnową naszego Państwa.

*

Więc przedewszystkiem w sierpniu przypada rocznica wydarzenia, które było jednem z ziarn posiewu pracy nad wyzwoleniem Ojczyzny, zerwaniem pęt wrogich z rąk Narodu — wydarzenia, które było manifestacją nieprzerwanej naszej walki wiekowej o Wolność; to **rocznica śmierci męczeńskiej członków Rządu Narodowego na stokach Cytadeli Warszawskiej;** 5-go sierpnia to było....

Powstanie 1863 r., orężny protest przeciwko zbrodni rozbiorów, uległ przemocy regularnego, wyćwiczonego wojska moskiewskiego. W myśl w Paryżu rzuconego hasła „wytrwajcie" Powstanie przeciągało się, mimo nierówności sił i środków — długo. Romuald Traugutt, wziąwszy w swe mocne dłonie dyktaturę, całą siłę swego ducha, moc i wysiłek umysłowy włożył w zamierające powstanie, by w nie wlać siłę odżywczą; częściowo mu się to udało, lecz małoduszną zdradą wydany, 11 kwietnia został uwięziony. Na śmierć skazani zostali: Romuald Traugutt, Rafał Krajewski, Józef Toczyski, Zieliński i Jeziorański. W dn. 5 sierpnia 1864 roku o g. 10-ej rano na stoku Cytadeli, wobec nieprzeliczonego, zmartwiałego z boleści tłumu, odbyło się wykonanie wyroku. Umierali jak święci — jak bohaterowie. Jeden szloch tłumu, ból niezatarty niewysłowiony. Spowiednik Traugutta wyznał, że równie pięknej duszy w swem duchownem życiu nie spotkał.

Obecnie na miejscu okrutnej kaźni wznosi się krzyż, w przyszłości stanie tam pomnik Roku 63-go i jego Rządu Narodowego.

A w pięćdziesiąt trzy lat od daty stracenia przez Moskali Członków Rządu naszego powstańczego, tegoż samego dnia 5-go sierpnia 1916-go roku, Naród Polski otrzymuje zapowiedź nieomylną, iż wiekowa jego praca — walka o swobodę zostanie uwieńczona nareszcie sukcesem zwycięskim, że Wolność upragnioną i Niepodległość Ojczyzny swej odzyska w wyniku ostatecznym wielkiej Wojny Światowej. Niezbadane są wyroki Opatrzności; dziwnych używa Ona dróg i sposobów do celów swych urzeczywistnienia: tak więc i zapowiedź ta przyszła do nas — od nieprzyjaciół! Niemcy to ogłaszają właśnie w dniu wymienionym niepodległość Polski w Warszawie.

Niemcy, czując przegraną i potrzebując polskiego rekruta, ogłosiły niepodległość niecałej nawet Kongresówki — czyli fikcję niepodległego Państwa polskiego. Urzeczywistnienie tego zamiaru stanowić miało czwarty — już ostateczny rozbiór Polski. Części północno-zachodnie odeszłyby do Niemiec, południowa część do Austrji, reszta stanowiłaby małe niedołężne państewko, związane z Niemcami wojskowo i ekonomicznie, aż i ono pogrążyłoby się w otchłani zachłanności germańskiej.

Ale Naród Polski nie przyjął Wolności z rąk nieprzyjacielskich, ni nowego wykrawka „Państwa Polskiego na Saskiej Kępie“ — jak o tem onego czasu ironicznie pisano; nie poszliśmy na lep niemieckich złud i wabień, lecz oczekiwaliśmy wznowienia naszej swobody od wymiaru międzynarodowego sprawiedliwości po Wielkiej Wojnie. I nie omyliliśmy się: Zwycięstwo państw sprzymierzonych, idea Wilsona i praca mądra, wytężona Komitetu Narodowego w Paryżu dały nam Polskę zjednoczoną, z dostępem do morza. W owym wymiarze sprawiedliwości — nie jedno nam potem popsuto i ujęto, ale zasady to nie zmienia, jeno pozostawia Narodowi pewne bodźce do pracy na przyszłość — dla uzupełnienia i poprawy powojennej, wznowionej Polski i jej ludowego Państwa, które cały swój lud pragnie mieć pod osłoną i pieczą Macierzy.

*

I rocznica wybuchu Wielkiej Wojny Światowej w sierpniu przypada: pamiętny dzień 1-go sierpnia 1914 r. jest datą wypowiedzenia wojny Rosji i Francji, a z faktu tego rozgorzała zawierucha wojenna na świat cały, po której nastąpił istny potop przemian zupełnych politycznego istnienia i zgrupowania państw i ludów, aż wyłoniła się zeń odnowiona — niepodległa Polska.

Lecz zaledwie odetchnęliśmy nieco po Światowej Wojnie, już nowe nastaje nam niebezpieczeństwo, od „wschodniej ściany“: wojna z sowiecką Rosja: wyprawa na Kijów, po niej od-

wrót pośpieszny i zagrożenie bezpośrednie Państwa Polskiego przez bolszewickie hordy. Rosjanie wkraczają do Polski, która, zdało się, pada od ich zamachu jednego, od rozpędu tych nieprzeliczonych mas, prących na Warszawę!... Znikąd nie widać ratunku — pomocy! Powstaje w Polsce Rada Obrony Państwa, która zespala wszystkich, dotąd różniących się — jednoczy, godzi społeczeństwo całe w wysiłku ku obronie Ojczyzny. Próba polska pozyskania interwencji angielskiej na rzecz naszą uzyskuje zaledwie hipokrytycznie zdawkowy frazes odprawy:

„Rząd Wielkiej Brytanji i Jego Alianci będą się czuli zobowiązani do wspierania Narodu Polskiego w obronie jego instytucyj wszystkiemi środkami, jakiemi rozporządzają".

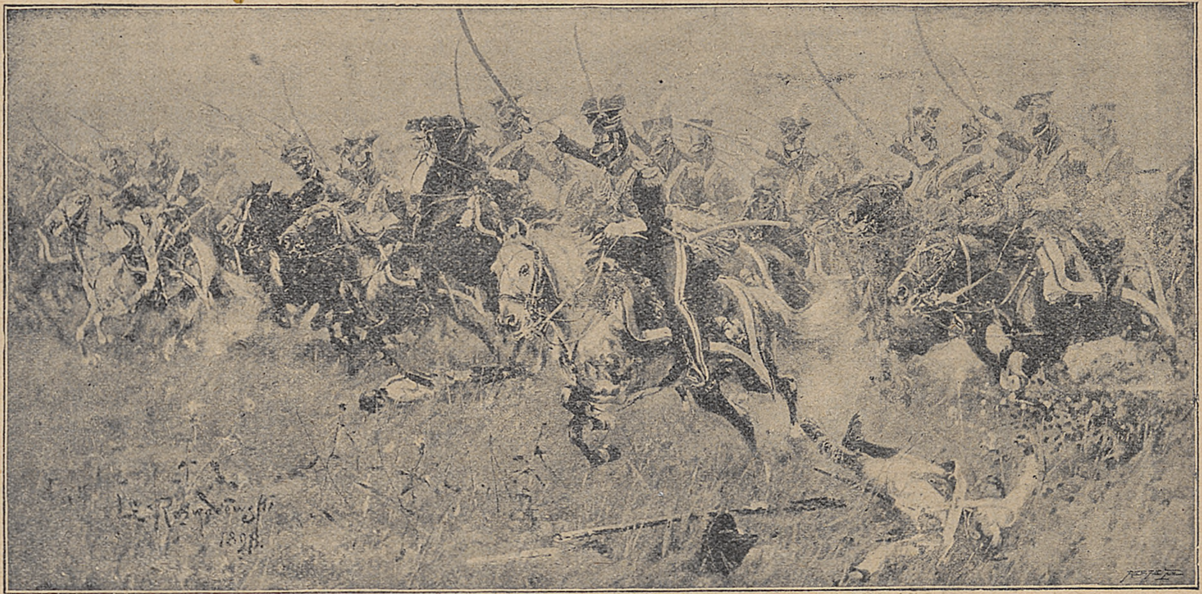
* * *

Jedna Francja deleguje gen. Weyganda z misją wojskową i wysyła nam transporty materjałów bojowych.

*

Aliści pada Białystok, pada twierdza po twierdzy, miasto za miastem w ręce wroga się dostają — cała Polska w przerażeniu — w zwątpieniu nieledwie: nawa państwowa tonie — zda się, tonie bez ratunku, bez możności odwrócenia katastrofy! Jednakże bronimy się, nie rezygnujemy, nie upadamy na duchu, wbrew samej nadziei — nadzieję żywimy! Powstaje nowy rząd, koalicyjny, armja ochotnicza, na ołtarz Ojczyzny ofiary płyną niezliczone z mienia i życia jej dziatwy... Tymczasem Moskale dochodzą już do Warszawy; na przedmieściach słychać już odgłos ich dział, już była data postanowiona wejścia ich wojsk do stolicy... Nagle — odmiana kompletna sytuacji! Walki na polach Radzymina i Osowa, śmierć bohaterska X Skorupki — Cud — Cud nad Wisłą!... Pogrom hord bolszewickich, pogrom zupełny, stolica ocalona, potem — kontrofenzywa wojsk polskich pędzi wrogów ćmę z powrotem — daleko — precz z Polski! Ojczyzna ocalona — ocalona, a omal nie katastrofa zamienia się w zwycięstwo tryumfalne! To w dniach 14-go i 15-go sierpnia rozegrała się ta wspaniała nasza Bitwą pod Warszawą, która stała się przypieczętowaniem Niepodległości i Swobody odnowionej Polski.

W stosunkach naszych rodzin i domów często bywa, że źle odżywione dziecię mniej zyskuje uwagi — niż n. p. moda danego sezonu, kurs akcyj, albo nawet zdrowie Azorka...



ATAK UŁANÓW

Bitwa pod Rogożnicą, 29. VIII. 1831.

Podług obrazu S. K. Batowskiego.

Kobiety-Bohaterki.

(Wspomnienia z Wielkiej Wojny).

Huragan wojny przeszedł po całym świecie. Szlakami, przez które przeciągały wojska — niebo stało wciąż w tumanach dymu, w ogniach krwawych łun. Płonęły miasta, osady i wsie. Ziemia zmieniła się w bezpłodną pustynię. Ogień wojny isker, płomieni i duszących zabójczych gazów — podsyca jeszcze i słońce, roziskrzone, palące, spływające potokami żaru na ziemię. No polach nic już nie pozostało, znikła już dawno wątła ruń wschodzących zbóż. Na łąkach słania się wątła wysuszona trawa. Cały to majątek gromadzki, jedyna nadzieja przekarmienia ocalonych od rekwizycji paru pozostałych krów i jedynego ochwaconego konia. Wszyscy mężczyźni poszli już na wojnę. Więc kobiety radzą sobie jak mogą. „Choćby pazurami przyszło nam rwać ziemię — a uprawić, obsiać ją musimy". Tedy gromadka kobiet, uzbrojonych w kosy, widły i sierpy raźno się zwija na łące, kosząc i gromadząc w kopy siano. Umilkły wesołe śpiewy, ponure myśli zaległy w głowie. Robotnicom przygrywa inna muzyka. Piorunowy huk armatnich wystrzałów, piekielne grzmoty pękających bomb, wwiercające się w uszy — świdrowały poświst szrapneli i suchy łoskot lub przygłuszony furkot przelatujących ponad głowami powietrznych wojennych gońców — aeroplanów.

Na niebie ani chmurki, od wielu, wielu miesięcy.

A słońce pali coraz bardziej, strumieniem spływa pot po ogorzałych twarzach, zalewa wypłakane oczy... Naraz jakby szara ogromna płachta, zawisła nad łąką, słoniąc sobą słońce, a ptactwo pierzchło w dal, spłoszone.

— Wiluś! Wiluś! — krzyknęły naraz drzemiące pod kopami siana dzieci.

— Juści, że sielma niemiecki — rzekła jedna z kobiet.

— Widać dobrze go poczęstowali, bo coś za nisko lata...

Naraz aeroplan z wielkim trzaskiem opadł na łąkę, a ze strzępów i zwojów lin, wymachując rękami, wypełzło dwóch lotników.

— Ach to szelmy pludry! Dalejże baby, chodźta brać ich do niewoli! Prędzej! — zakomenderowała Ewka Kubiakowa, pociągając cały korowód bab uzbrojonych w kosy, widły i grabie i otaczając Niemców wokoło. A prać ich co się zmieści! — krzyczała rozwścieczona kobieta. — Za naszą nędzę, za nasz głód! Za areszt Najświętszej Panienki na Jasnej Górze! Bijta kto w Boga wierzy! — I baby tłukły Niemców, zziajane, wściekłe, żądne pomsty na tych odwiecznych wrogach polskiej spustoszonej ziemi. Niemcy zgłupieli na razie, a potem usiłując się bronić, wywijali tylko rękoma i nogami. Czerwone twarze nadęły im się jak banie, a oczy wyszły na wierzch.

Wreszcie młodszy z lotników zrobił płaczliwą minę i złożywszy ręce, począł prosić litości.

— Ich bitte gnaediges Freulein! Bitte schoen!

— To to to! — przedrzeźniała Ewka. — Bić to, bić jeszcze, gnaty im połamać. — I baby tłukły Prusaków coraz silniej.

Zobaczywszy wreszcie, że Niemcy już ani ręką ani nogą poruszać nie są w stanie — znów Ewka zakomenderowała:

— No a teraz ściągać buty i te skórzane kaftany. Choć tyla za te skóry, co to furgonami z Polski powywozili. Dalej, może mają jakie ważne papiery!...

Po ukończeniu rewizji kobiety uplotły ze sznurów rodzaj naszyjników i nałożyły Niemcom na karki; poczem kilkanaście kobiet obmotawszy się linami aeroplanu i wprzągłszy się w ten rydwan wojenny — w tryumfie popędzając niewolników swych, dotarły do miejscowego komendanta.

Śmiechu było co niemiara po drodze, ludzie się gromadzili, a każdy bodaj pięścią w plecy uderzał znienawidzonych Prusaków. — Dotarły wreszcie do miejscowego komendanta. Zdziwienie oficerów i żołnierzy nie miało granic. W nagrodę za czyn bohaterski — obdzielono wszystkie kobiety pieniędzmi znalezionemi przy lotnikach — a główny dowódca Ewka Kubiakowa otrzymała order. **J. P.**

FRAGMENT.*)

Ja nie pamiętam, co oni mówili
W sądzie — mateczko moja ukochana,
Wiem, żeś upadła na ziemię w tej chwili
I że za nami krzyk powstał i jęki,
Kiedy nas Niemiec prowadził w kajdanach...
Nic nie pamiętam; w głowie piekła rana
I tak płakałem, tak w sercu bolało,
Że się Wicusia uchwyciłem ręki,
Aby nie upaść... w tych łzach i tych ranach
I w tem, że byłaś, mamo, taką białą,
Jak chusta biała... gdy Niemcy czytali;
Wynieśli... czułem, że ty za mną, mamo,
Rozpaczasz, mdlejesz... a ja, ja iść muszę
Od ciebie, mamo... Bóg wie, na jak długo!
Dlaczego? za co? I Wicuś tak samo
Nie wiedział, za co karzą nas Prusacy —
I za co męczą nam ciało i duszę?...
Aż dziś... dozorca nasz, poczciwy Hugo
Ze Śląska... widząc, że jeść nie chcę chleba,
Że płaczę — krzyknął: tacy oni, tacy!
Przed nikim nie drżą, nie boją się nieba,
Ale im straszny polski pacierz dziecka!

Włodzimierz Żuławski.

*) Wspomnienie z głośnego swego czasu procesu we Wrześni o katowanie dzieci polskich za modlitwę w polskiej mowie.



Brzegi Michiganu.

Z tęsknoty.

(Z tułaczych motywów).

Wysoko już wytoczył się blady miesiąc nad Michiganem i patrzył w zielone wody jeziora, które drgały w jego świetle drobniutkiemi falami by posrebrzone skorupki muszli, kolebiąc się na wszystkie strony. Może wiatr w nie dmuchał, a może tam gdzieś na dnie duchy wodne gzy wyprawiały, od których na wierzchu woda jeno się mieniła, bo i słychać było jakieś szmery, szeptanie, to znów śmiechy, echa jakieś zmięszane, stłumione. Czasem odezwała się fala, potoczyła się ku brzegowi, jakby ją kto ścigał, za nią druga, trzecia... przyleciały do brzegu i znów rozigrane wracały... nic — jeno duchy się gonią i wracają ze śmiechem, jak rozbawione dzieci — i znowu się gonią. Cisza była naokół, to i duchom bawić się swobodniej.

Na brzegu siedziała postać kobieca.

Zośka Szypulanka przyjechała jakoś z wiosną do Ameryki. Pisali po nią znajomi do „Starego Kraju" — jechali ludzie i ją ochota zebrała, więc pojechała z nimi. Robotę miała przy krawcach dobrą, przyodziewek pański i kawę na śniadanie i mięso na obiad. Siedziała komornem u wsiowych ludzi, zarobek miała, nie było jej źle, a jednak do niczego nie miała ochoty, nic ją nie cieszyło, bo tęsknota ku swoim tak żarła w niej duszę, tak z niej krew i siły ssała, że chodziła jak cień o startej z twarzy krasie i ciele wychudłem. Wspomni ktoś o „Starym Kraju", doleci ją nuta swojska, to się zamyśli i duma i duma... Hej! Chyba i lekarstwa niema na taką chorobę, ani ludzie nic nie poradzą!...

Nie skarżyła się też Zośka nikomu; wychynie się miesiąc nad szerokie wody, to leci jeno nad wodę, siądzie na brzegu i patrzy... i patrzy ku wodom dalekim, ku brzegom, w mgły jasne spowitym, ku swoim stronom.

Tak było i teraz. Niedbale ubrana, siedzi nad wodą i w dal przeźroczystą się wpatruje. Roje wspomnień opadły jej roztęsknioną duszę, jak stado jaskółek hybkich i porwały ją ze sobą hen ku wsi rodzinnej, ku chacie matczynej.

...Stoi chałupka nad brzegiem drogi z rozczochraną strzechą, przygarbiona jak staruszka i małemi okienkami ku smętarzowi patrzy. Koło chaty ogródek — czy jeno aby zasadzony astrami, balsaminem, lewkonją przez środek, a słoneczniki koło płotu... Skrzypnęły wrota, wyszli matuś na uwrocie, uklękli przy konewkach, co na pogródce stoją i na różaniec pacierze szepcą... ej! pewnie i za nią jutrzenne mówią zdrowaśki... Toż i niedola... Gościńcem gromady ludzi do kościoła idą długą tęczą, a dzwony grają i grają. Bosemi nogami dzieciska po drodze bębnią, człapią starzy, a dziewuchy nowymi butami skrzypią. Nad łąkami opary jeszcze leżą, a w tych mgłach dwonią skowronki, pastusze grają fletnie i wesołe lecą śpiewki. Nad oparami dymy z chałup idą prosto ku górze prościutko, różane, pozłociste, bo słonko już złotem sieje na te dymy i mgły i lasy i gór dalekich czoła... Zajęczał dzwonek na drewnianej wieży i gromadki ludzi do wrót kościelnych się cisną, pchają i wodą święconą czoła znaczą, nim staną przed ołtarzami Pana nad pany. Wyszła jutrznia, zamruczały organki i huknęła pieśń potężna jak szum boru, gdy wicher i gromy nań wpadną.

Puścili się ludzie z kościoła na wsze strony do dom, śpieszą jak mrówki z jednego mrowiska, a gwary i śmiechy i chichotanie idą z nimi wszędy. Słonko praży, ku górze mgły ciągnie, co jeszcze wiszą nad górami, jak postrzępiona płachta, dopóki ich chłód, co z lasów leci, nie poszarpie i strzępów między drzewa nie schowa. Wstał dzień odświętny, ubrany w słoneczne blaski, a w tej powodzi światła kąpią się fale zbóż, szeleszczą liście drzew, stroją się po łąkach i ugorach kwiaty, iskrzą wody. Tchnienie jakieś leci po świecie i woła: „To święty, pański dzień!"

Od wieczora — po nieszporach na gościńcu i po opłotkach gwarno; — Grodzki, gospodarz obsiadły, doroczne „wieńcowiny" żeńcom sprawia. Rypią basy, grają skrzypki, a tak łechcą... tak łechcą... Idzie gromadka dziewcząt, za ręce się trzymają, a Zośka z nimi. U kosów wstążki, na szyjach korale, wieńce na głowach: Idą ze śmiechem, a co chwila oczyma poza siebie strzygą i wabią. Zwiedli się chłopcy, puścili się za niemi, figlują, słodkie słówka prawią i śpiewkami na śpiewki oddają.

U Grodzkiego w izbie muzyka i taniec. Ej! tańczy Jasiek! Czapkę na ucho nasunął, jedną ręką w bok się podjął, drugą Marynę Gwoździankę ujął; skrami z oczu w okół ciska, skry mu z podkówek się sypią, z twarzy ogień bije. Hej! jaki on dumny, jaki szumny, jak malowanie ładny!... Leci w tańcu

jak wichura, ledwie ziemi dotknie nogą, ogniem sypnie i znów leci... Zoczył Zośkę. Wypadł z izby i do tańca ją ciągnie. Ona się zapłoniła, ale serce z radości aż skacze.

Już ją objął, przed muzyką stanął i śpiewa:

„Hej! był ja se szczęśliwy, pókim był maleńki,
Bom jeszcze nie patrzył w oczęta Zosieńki".

Owczarz-muzyka głowę na skrzypcach oparł, oczy przymrużył — jęknęło drewno na rzewną nutę, huknęły basy.

Zakręcił Jasiek na miejscu, czapkę ludziom pod nogi cisnął, rozkosz go porwała, krzyknął straszliwie, aż dreszcz po ludziach przeszedł i runął ze Zośką w taniec. Zośka oczy jeno przymknęła, głowę na ramieniu młodego junaka wsparła, a dusza jej leciała wśród nuty swojskiej ku jakimś przepaściom wiecznego kochania. „Zapamiętał się chłop czy co?... — powtarzały baby — strzyma — nie strzyma", a Jasiek rwał jakby się w nim rozpętały wszystkie rozkosze, jakby życie chciał z piersi wytłoczyć!

Leci i leci, aż lęk bierze na niego patrzeć, tyle w nim żaru tyle uniesienia!...

„Graj muzyka, bo duszę wyprę — graj! Hu! ha!" wrzasnął i nogami tupnął, aż ziemia stęknęła. „Hu! ha!"

Zagrali raźniej, a wśród tej nuty, którą powtarzały szerokie pola, kwieciste łąki i drzewa po sadach, która ginęła hen gdzieś — kędy góry sine, lecieli w tańcu Jasiek i Zosieńka w zapamiętaniu błogiem, w upojenu i miłości...

*

Z nad Michiganu przetoczył się miesiąc poza drzew wierzchołki i rzucał skośne promienie na dalekie wody...

...Nazajutrz wyciągnęli rybacy z wody trupa Zośki Szypulanki. Na piersiach jej znaleziono zaszytą w koszylę odrobinę rozmokłej ziemi i zaschły kwiatek bylicy.

Bylica.

M. Czaplic.

W Sowim Borku.

(Dokończenie).

Bez szelestu prawie skradaliśmy się do kępy drzew, wyraźnie zarysowanej już przed nami w czerwonawych promieniach wschodzącego księżyca. Bliżej lasku zeszliśmy z miedzy i rozwinąłem moją sekcję w tyraljerę. Posuwaliśmy się teraz krok za krokiem.

Było tak cicho, że słyszałem bicie serca nie tylko swego, ale i najbliższego sąsiada w chwilach, gdy zatrzymując się z bronią do strzału gotową, natężaliśmy wszystkie zmysły w kierunku domniemanego, a wciąż niewidzialnego wroga. Najmniej chyba kwadrans zajęło nam wystawanie przed świeżo, widać, w mendle, czy stogi — złożonem żytem.

Zając, który się z pod nóg komuś nagle wyrwał, narobił tyle hałasu, że ktoś z dalszych żołnierzy zarepetował karabin. Powoli jednak zaczęliśmy się zanurzać w długi cień, który na gryki białe i świeże rżyska rzucały sosny Sowiego Borku.

Olbrzymie rosochate choiny coraz wyraźniej czerniły się w białawem już teraz świetle coraz wyżej po firmamencie wędrującego księżyca.

Nareszcie znaleźliśmy się wśród pierwszych drzew, mocno już zresztą przerzedzonych. Pełno tu było starych po ziemniakach wądołków. Jakieś prowizoryczne, znać rosyjskie, z ostatniej jeszcze wojny światowej okopy przegrodziły nam drogę.

Niebawem przekonaliśmy się naocznie, że dotąd, prócz nas, żywej duszy nie było na powierzchni dwóch, trzech morgów, które zajmował borek. Wielki, ciężki kamień spadł z serc naszych. Wystawiłem cztery czaty na cztery świata strony. Sam przystanąłem o kilkanaście kroków od Stacha, przyczajonego pod olbrzymią, gałęziastą sosną, w samym cyplu lasu, zwróconym do wsi Paprotna. Wyraźnie w świetle miesiąca błyszczały ściany, znać już po wojnie, odbudowanych domów. Zauważyłem, że Truskolaski był czegoś głęboko wzruszony.

— Za dróżką, ot, tu, to już ojcowe pole! — zdążył mi szepnąć, wskazując lufą karabinu na stogi zrzętego żyta, w regularnych szeregach ciągnące się od lasku aż hen ku wiejskim ogrodom.

Postanowiłem czuwać.

Ludzie śmiertelnie znużeni. Trzeba ich pilnować. Djabeł nie śpi. Nie mogą przecież bolszewicy nie wysłać w tę stronę patroli.

Oparłem się o sosnę plecami i usiłując trzymać oczy otwarte, wpatrywałem się to w wieś, to w stogi zboża, nasłuchiwałem szczekania jakichś, dalekich po wsiach, psów. Lecz powoli obraz zaczął mi przed oczyma mętnieć. Jak i kiedy usiadłem, czy obsunąłem się do stóp drzewa, które mi za oparcie służyło, z tego absolutnie nie umiem sobie zdać sprawy.

Oczy, pamiętam to dokładnie, siłą woli trzymałem otwarte, ale mózg widać nie przyjmował już żadnych wrażeń wzrokowych.

Gdy się nagle ocknąłem, wydało mi się, że słyszę równy, spokojny oddech śpiącego gdzieś obok człowieka. Domyśliłem się odrazu, że to Truskolaski. Rozwarłem jedno oko. Drugiego, mimo wszelkich wysiłków, żadną miarą nie mogłem roztworzyć. Powieka, jak przyklejona, przylgnęła do gałki ocznej

Nagle zdało mi się, że słyszę jakiś przytłumiony głos:

— Dziad Dionizy — w zdumieniu wyraźnie ktoś wyrzekł.

Drgnąłem jak za dotknięciem prądu elektrycznego. Zerwałem się na równe nogi z szeroko rozwartemi już oczyma.

O dwa kroki przed Stachem Truskolaskim, na lufie karabinu opartym, stał w księżycowem świetle wyraźnie zarysowany dziwny jakiś żołnierz. Promień miesiąca igrał na końcu jego bagnetu, silnie odstającego od trzymanego sztywno na ramieniu karabina. Matowo odbijały jasne rabaty i wyłogi dziwacznego, kusego munduru. Błuszczały skórzane, białe lederwerki. Trwało to jedno mgnienie oka, gdyż żołnierz nagłym, niesłychanie precyzyjnym ruchem wykonał „w tył zwrot" i jak automat przerzucił z ramienia ku polom „gotuj broń" — karabin.

Nic z tego nie rozumiejąc, spojrzałem i ja w tym kierunku.

O pięćdziesiąt, najdalej sześćdziesiąt kroków, między stogami żyta, czaiło się kilkanaście szarych przygarbionych cieni...

Odruchowo zmierzyłem i wypaliłem do tych, skradających się postaci.

Z mojej lewej strony, gdzieś od Truskolaskiego, huknął strzał, jakby z dwóch oddzielnych złożony eksplozyj.

Nim drugi raz do przywarowanych do ziemi między sto-

gami, bolszewików, zdążyłem wystrzelić, rzuciłem okiem ku Stachowi.

Obcego żołnierza nie dojrzałem. Truskolaski osłonięty był jakby obłokiem mgły, czy dymu, który powoli opadał na ścierń żytnią, leniwie czepiał się zwisających na dróżkę gałęzi choiny.

Nasz patrol zawiązał z bolszewikami żwawą strzelaninę. Ich kule cykały ostro po pniach i konarach sosen Sowiego Borku, myśmy też nie pozostawali dłużni, intuicyjnie zgadując, przypuszczalny kierunek ich, za stogami i w bruzdach, kryjówek.

Z wprawą, jakiej się rychło w tego rodzaju spotkaniach nabiera, wywnioskowałem, że nieprzyjaciel przezornie wycofuje się z walki. Głęboki cień, w jakim Borek był pogrążony, dawał naszej pozycji pewną nad nimi przewagę strategiczną. Po chwili pierzchnęli w rozsypce, a za nimi wesoło poświstywały nasze kulki, szeleszcząc po suchej słomie żytnich snopów w stogach.

Nie było rozkazu wysuwać się po za Borek. Nie ścigaliśmy ich...

Nazajutrz rano, po meldunku, wziąłem za ramię Truskolaskiego i delikatnie zacząłem go badać co do osoby tego dziwnego żołnierza, którego w chwili pojawienia się bolszewików, zda mi się, widziałem przy nim. Bałem się pytać wprost, bo przypuszczałem, że mi się mogło poprostu, ze snu i zmęczenia, w oczach troić.

Stach trochę przybladł:

— To i pan kapral widział? — pytał nieśmiało.

Skinąłem potakująco głową.

— To dziadek mój, nieboszczyk, Dionizy Truskolaski, ostrzegł nas, że bolszewicy idą. Mnie sen tak morzył, że już nie wiedziałem sam, co począć.

— Toż ja na własnym, rachować, zagonie stałem. Chałupa i wiorsty nie będzie, cała była przy miesiącu widna, jak w dzień biały! Jest na co popatrzeć, a mnie głowa na piersi opada i ustać na nogach ze zmęczenia nie mogę. Musiałem się chyba zdrzemnąć. Raptem ktoś mnie za rękaw szarpnął. Otwieram oczy. Przede mną dziad Dionizy. Poznałem go odrazu, bo był w takiej czapie, jak szkopek, na głowie, co mu ją ojciec do trumny w moich oczach kładł. „Już idą Stachu!" rzekł, wykręcił się na pięcie i „gotuj broń" zrobił. W tej chwili wystrzeliłem. Wypalił i pan kapral. Tak mi się coś wydaje, że i dziad do nich wygarnął. Dym oczy jakiś mi zasnuł, a nasze karabiny przecież nie dają dymu. Bolszewicy tuż tuż pod-

chodzili i nie mogłem już zauważyć, gdzie mi się dziadek zapodział. Toż ja jego najkochańszy wnuczek byłem, — melancholijnie pokiwał głową.

Ku memu wielkiemu zdumieniu nie był jakoś Stach wcale zbytnio zdziwiony swą nocną przygodą. Zato ja dnia tego o niczem innem nie mogłem już myśleć.

Jeszcze dobrze przed południem przechodziliśmy przez dużą, kościelną wieś — Wełniane.

— To tu, na cmentarzu spoczywa mój dziad Dionizy — szepnął mi cicho Truskolaski, — nie śmiejąc widać wyraźniej prosić o pozwolenie wydalenia się z szeregów.

Nakazano krótki we wsi spoczynek.

Skinąłem na Stacha i poszliśmy na cmentarz.

Na porośniętym murawą grobie był prosty kamień polny z żelaznym krzyżem. Na gładko ściosanej stronie głazu krótki widniał napis:

Ś. P.

Dionizy Truskolaski

1805 — 1899.

Zgodnie, ramię przy ramieniu, uklękliśmy na tej mogile:

„Wieczne odpoczywanie racz mu dać Panie!"

. . . .

A zatem w pewnych, nie codziennych sprawach naszego żywota istnieje przecież jakieś umarłych z żywymi obcowanie.

Że tak jest w istocie — dowodem tego my obaj, żywi, na mogile starego żołnierza, Dionizego Truskolaskiego, w tej chwili klęczący.

Bez nocnej zjawy i ostrzeżenia nie tu byłoby nasze miejsce.

Są na świecie rzeczy i sprawy, które mędrcy głusi, ślepi, a uparci — za niemożliwe uznają. A jednak — one wbrew nim istniały, istnieją — i po wsze czasy istnieć będą.

Dzień w dzień spędzaj choć godzinę na przechadzce, a będziesz chodził dobrze i długo, inaczej cię powiozą...

*

Nie kupuj żywności w składzie brudno utrzymanym; sprzedają ci tam za drogie pieniądze — zdrowia twego trutkę!

Z CYKLU „POŻEGNANIA".

I.

Synaczku idziesz?... —Tak, matko, trza, —
Ha, idź — jedyny z Bogiem...
Krwią z serca zda mi się ta łza,
Którą cię żegnam za progiem...

*

Bądź zdrów! Pamiętaj, żeś mój syn,
Polskiej niewiasty dziecię:
Niechże mi żaden podły czyn
Nie zaprzepaści cię w świecie!

*

„Bywaj zdrów synu!" — Ojcze mój!
— Błogosław mi na drogę;
— Na doli znój, za Sprawę bój —
— Daj woli twojej wspomogę.

*

„O synu drogi, cóż ci rzec?
Pamiętaj, żyjem w Tobie:
Wiesz, od niesławy, lepiej lec!
Przed hańbą skryj się — choć w grobie!

*

— Tak, ojcze — tak! Dopomóż Bóg!
— Wrócę ja do was w chwale,
— Albo — jeśli mię sięgnie wróg,
— A zmoże, nie wrócę wcale...

*

— Aleć nie splamię naszej czci
— Was godzien — wytrwam prawy!
— Czy żyć — czy paść tam dano mi,
— Jedno: Dla Sprawy, dla Sławy!

II.

Co ci ta? Maryś! Cichoj raz,
Otsyjze noc i ocy!...
Trąbio, juz bede w wagon laz
Cóz? Bedzies bucеć do nocy?
Ja ta sie nie dom — mówie ci!
Zańde — choć do Berlina!
Do ty wojenki mi sie cni...
Bijacka mi ta nie nowina.
Pan Bóg mi siłe w pięści doł
I kark i kości mocne:
Będzie się pludrok kiepsko mioł,
Jak ja go tam młócić pocne.
Widzis dziewucho jaby tu

Juz długo nie wysiedzioł
Ni mi tu jedzy, ni mi snu,
Jakem ci raz juz powiedzioł.
To wis, interes chłopski jest
Nie babska na to głowa:
Mnie iść i Śwaba walić — fest!
Niech Polski selma nie psowa!
Mnie iść, gdzie idzie brat i swat,
Gdzie nas sie naród zbiera
Choć to daleko — tyli świat
Rozumis — iść tsa do Halera!
Wojakiem swoim chce się być
Mieć polski moderunek
Umiroć z nimi, albo zyć
To raj ci je, nie frasunek!
Toć nie bec głupio, gadom ci,
Lepi się wesel ze mno!
Niechaj, twych jagód skoda mi
Od ślozów ci w ocach ciemno.
A toćze spojzyj jesce! Wis,
Maryś? Ja wróce — wróce!
Wspominaj ciągiem, ciągiem pis
Ja tyz cie tam nie pozuce.
A po ty wojnie kiedyś — wnet —
Pięknie się psywitamy
I na psegnanie bidy het
Na zapowiedzie se damy!
To będzies wtedy chłopa mieć,
Co w świecie całym bywoł,
Co ta nie byle cłecy śmieć,
A w Polskiej Wojnie sługiwoł.
I pozawidzą ci mnie jaz
Somsiady i kumoski
No, Maryś, mówie, skońc-ze raz
Pozbądź się hań — cały troski.
A jesce to ci muse rzec,
Ze jakby nie daj Boze
Nie wrócić mi... puść smęty prec
To na to nic nie pomoze!...
Wspomnij se casem, idź pod krzyz
I zmów „Odpocywanie"...
Toć tam nie bede zaden chmyz,
Zasłuze je se choć na nie.
Zasłuze na wspominek was
Na te modlitwy słowa!...
Oho, juz znak — no cas, to cas!
Maryśka!... Bywaj mi zdrowa!

k. w.



STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI.

POWRÓT.

(Wyjątek).

Od samego świtu ryczały najsilniejsze działa artylerji Ponikły. Powietrze wyło ogłuszającemi grzmotami, rozdzierane na strzępy przez olbrzymie granaty, ale Janta nie słyszał huku, nie słyszał łoskotu, ani trzasku walących się drzew w pobliskim lasku — jedną myślą tylko był opętany, by dotrzymać swej ziemi danej przysięgi, na nowo tu z Pola nowe życie rozpocząć.

Hej! hej! Pola! Okrzyk jego bojowy, tarcza, o którą najlepsza stal w kawałki pryskała, kule, które pancerne płyty przebijały, po niej, jak groch spadały — Pola: wola jego i moc!

— A jednak co chwilę mgła zasnuwała mu oczy, w uszach, w sercu rozkołysały się jakoweś upiorne dzwony, a w skroni, jakby świergot ptasząt szybciej i coraz szybciej, wybijały sygnaturki lękliwe tink-tank.

Ale wraz jakby się jakaś nowa, potężna fala odrodczych sił w nim rozlała: cały zadrżał, zatrząsł się wielkim tryumfem i nadsłuchiwał wytężenie.

Baterja nieprzyjacielska coraz rzadziej i słabiej odpowiadała:

— Wynaleźli ją nasi — nie pomyliłem się! Chwilę jeszcze, a umilknie, — szepnął do ucha stojącemu obok adjutantowi swojemu.

— Kto? co?

— Nasi wymacali baterję nieprzyjacielską.

Adjutantowi oczy się roziskrzyły głęboką radością.

O parę kroków od nich buchnął granat, obłokiem piasku ich zasypał.

— To chyba już ostatni! — zaśmiał się Janta.

I w tej samej chwili przypadł ordynans.

Janta przeczytał kartkę: — Na koń! — rzucił adjutantowi.

Janta dosiadł Czajki. Ale szlachetne zwierzę, jakby coś przeczuwało, nie mogło ustać na miejscu, rzucało się niespokojnie w bok, jęło tańczyć wokół, Janta ją dobrotliwie uspakajał:

— Nie bój się Czajka — nie bój! jedziemy na zwycięstwo — ziemię naszą zdobędziemy — ty mi dopomożesz!

Głaskał ją i klepał po karku, a w miarę, jak cały tężał ogromnym kamiennym spokojem, koń pokorniał i stał się potulny.

Janta obejrzał się za siebie:

Oczy jego ludzi pożądliwszą jeszcze mocą zwycięstwa się jarzyły, niż zwykle, a serca ich gwałtowniejszą niecierpliwością rwały się na krwawy taniec. Zwartą gromadą siedzieli jego ułani na koniach w sprawnym ordynku w czwórkach, bo szeroki parów dozwalał na wygodne rozwinięcie szeregów.

Tak dobrze — tak — to pewne zwycięstwo! — Polo raduj się! zawrócił swą Czajkę, stanął w strzemionach:

Naprzód chłopcy! Musimy zwyciężyć! — huknął.

— Zwyciężymy!

Janta jął wyprowadzać resztki swego, w Karpatach poharatanego, szwadronu z parowu na otwarte pole.

Przy wylocie parów coraz więcej się rozszerzał tak, że po piętnaście koni obok siebie stać mogło — szeregi coraz swobodniej się rozwijały.

Słyszeli nad sobą skowyt, wybuchających w powietrzu, granatów, przeraźliwy poświst szrapnelów: jeden nieustający, upiorny dwugłos, ale zbyt byli do tej monotonnej muzyki przyzwyczajeni, by zwracać na nią, choćby najdrobniejszą, uwagę.

— Trzeci pluton pozostanie w rezerwie — zakomenderował Janta — pierwszy i drugi za mną! — spiął konia, szablą wskazał kierunek; w okamgnieniu rozwinął się zastęp sześćdziesięciu ludzi w szyku bojowym i rozszalałą burzą rzucił się ku okopom nieprzyjaciela.

Z boku szeroką linją, w czterech po sobie następujących szeregach pędziła już piechota z najeżonemi bagnetami do ataku; na nią cały morderczy ogień karabinów maszynowych wroga był skierowany; nieprzyjaciel widocznie nie przeczuwał obecności konnicy polskiej.

— Naprzód! — wołał gromkim głosem Janta i tracił coraz więcej poczucia siebie samego — nie wiedział już teraz, czy wogóle istnieje, nic nie słyszał, tylko oczy jeszcze były dla jawy otwarte. I tylko szablą bezustannie wskazywał kierunek, przegiął się przez kark Czajki i pędził w oszalałym pędzie naprzód.

I tylko wiatr świszczał w uszach, konie brzuchami zdawały się ziemi dotykać, a z pod ich kopyt porozrywana ziemia obłokiem w górę się wzbiła — jednym dzikim rozmachem przesadzili wysuszone łożysko małej rzeczki, której nieprzyjaciel nie zdążył jeszcze opuścić, przewalili się huraganem przez miejsce, w którem pierwszy skośny rów przylegał do poprzecznego i dopadli do pierwszego rowu, w którym nieprzyjaciel zasłonięty pierwszemi rowami poprzecznemi, zdobywanemi teraz przez polską piechotę, czuł się narazie bezpiecznym.

Tym nagłym atakiem wróg był tak zaskoczony i do cna oszołomiony, że żołnierze ze zgłupiałemi, wybałuszonemi od przestrachu ślepiami porzucali broń i ręce do góry wyciągali; upiór, któryby się był nagle zjawił, nie mógłby ich więcej przestraszyć, jak ten szatański, niespodziewany atak.

— Naprzód! — zacharczał Janta i w więcej jeszcze rozjuszonym pędzie, pijani zapachem krwi i tryumfu, rzucili się na drugi rów.

Tu już ich powitano jedną, drugą i trzecią morderczą salwą wystrzałów. Obok na lewo i na prawo wspinały się i dęba stawały ranione konie, rzucały się w bok i wywracały się na grzbiet, powalając jeźdźców pod sobą. Janta widział, jak obok oficer Kubik rozkrzyżował nagle ramiona, ugodzony śmiertelną kulą i zwalił się z konia, tam znowu włóczył oszalały ogier

swego pana w opętanym pościgu przez pole — za sobą obejrzawszy się, widział, jak w migawce, zwalających się pokotem z koni swych ludzi, wierzgające w powietrzu kopyta końskie, ale już teraz nic nie odczuwał — widzący oślepł w oszalałem pragnieniu zwycięstwa, słyszący głuchł na jęki, na przedśmiertne krzyki o ratunek, na chrapanie, rżenie, wrzask i ryk, w jakim się życie ze śmiercią zmaga: Cóż go teraz obchodziło? — świętszemi ślubami był związany nad ten, który go z jego ludźmi wiąże!

Pierwszy dopadł długiego rowu, a za nim zwaliło się kilkudziesięciu jego towarzyszy.

— Poddać się! ryknął olbrzymim głosem i tu przerażeni sołdaci jęli rzucać broń i wyciągać ręce w górę.

Teraz już tylko trzeci i najsilniejszy rów.

— Naprzód! — krzyczał Janta i obejrzał się poza siebie — zaledwie połowa mu towarzyszyła — on terazby w samotrzeć jeszcze parę takich rowów zdobył: ujrzał nagle na odstęp długości końskiej młodego oficera — szarpnął Czajkę, wyrównał się z nim:

— Władek! gdybym teraz miał paść, to obejmij komendę i rżnij na prawo! Tam poza zburzonym pałacem zabudowania dworskie — tam wróg z pewnością w zasadzce — zajedziesz mu tyły, tego się nie spodziewają — zniesiesz go doszczętnie i zwycięstwo będzie pełne...

Oficer zasalutował.

— Zrozumiałeś?

— Rozumiem!

— Naprzód! — krzyczał Janta bezpamiętnie, ale jakby w świetlistej mgle był Pole ujrzał, chwilę zesłabł, ale wraz wyprężył się w strzemionach i wskazał szablą kierunek:

— Pola! coś się w nim rozkrzyczało i znowu posłyszał jakoweś dzwony złowieszcze...

Ale nie miał czasu na dalsze milczenie, — na słuchanie — teraz ten rów jeszcze tylko: A ślubów dokona!

Nieprzyjaciel miał czas oprzytomnieć.

Stary oficer rosyjski w trzecim rowie spokojnie obliczał siłę konnicy polskiej, która w tym opętańczym rozpędzie wydawała mu się z początku być jakąś niesłychaną, przepotężną nawałnicę żywiołową — a teraz zbliska okazała się garścią kilkudziesięciu szaleńców.

Ślepie oficera rozjarzyły się podziwem i zachwytem:

— „Wot geroje!" — wyrwało mu się z pod serca, a równocześnie zakomenderował:

— Pal!

Salwa stu pięćdziesięciu karabinów rozerwała powietrze raz, drugi i szósty w krótkich odstępach — opętany szałem zwycięstwa szereg ułanów wygiął się, rozerwał się tu i ówdzie — konie waliły się na siebie: tworzyły się poplątane wały, wijących się w przedśmiertnych konwulsjach, ciał końskich i ludzkich, dziwacznie z sobą poplątanych — tu i ówdzie coraz gęściej wylatywali śmiertelnie ranni jeźdźcy z siodeł, tratowani jeszcze przez własnych towarzyszy — całe powietrze rżało obłąkaniem. Hura! a Janta w niebo wzrastał nieludzką mocą, krzyczał, stojąc w strzemionach, zwrócony ku swoim — straszny, potężny, wniebowzięty:

— Naprzód! Jeszcze sto, jeszcze pięćdziesiąt kroków, — krzyczał nieludzkim głosem... Zwycięstwo! Moja ziemia! moja.

— „Wot geroje!" — mamrotał stary nieprzyjacielski oficer i z zimnym kamiennym spokojem mierzył swoim rewolwerem w Jantę.

— Wspanialszego orderu dostać nie mogę, jak gdy go powalę! — pomyślał i celował z wielkim skupieniem całej swej uwagi.

Jeszcze jedna chwila nieludzkiego, niepojętego wysiłku: Janta na przedzie swych ułanów wpadł do trzeciego rowu.

— „Wot geroje"! Oficer wystrzelił raz, drugi i trzeci: Janta skręcił się na siodle, wyprostował się, rozkrzyżował ramiona — jeszcze się rzucił naprzód:

— Władek, teraz za stodoły! — zwalił się z konia.

Rzucono mu się na ratunek.

Zerwał się z nadludzkim wysiłkiem, dźwignął się na kolana:

— Powiedz żonie, żem ja naszą ziemię zdobył... zacharczał, a potem nagle wyzwoliła się jego dusza w strasznym okrzyku: — Naprzód! Władek! — Padł krwią się ochlustał, zarył się pazurami w ziemię, przywarł do niej twarzą:

— Pola, — szepnął, chwilę jeszcze się skręcił i skonał.

Trzeci rów się poddał — i stary, ciężko ranny oficer, wzięty w niewolę, oddał swoją szablę, potem zatoczył się w stronę, gdzie Janta martwy zarył się w ziemię rowu, przykląkł obok niego:

— „Wot geroj!" — szepnął i omdlał.

——o——

Mogiła Maciejowicka.

(Wspomnienie z lat dziecinnych).

Cudnyż to był ów dzień 10 października 1861 roku; wrzące promienie słońca zlewały się potokami na ziemię, na której jesień położyła swe piętno, pola to szarzały świeżo zoranemi łanami, to zieleniły się ową pyszną zielenią szmaragdu wschodzących ozimin, lub żółciły rżyskiem, na którem rosły swobodnie żółte z białym rąbkiem rumianki i krwawa koniczyna. Drzewa lśniły się złotem i purpurą, a w dali wielkie odwieczne bory przybrały ton ciemnej zieleni, na której gdzieniegdzie złociły się konary wielkich dębów.

Szeroką drogą z Maciejowic do Oronnego płynęły tysiączne tłumy ludu; na przodzie niesiono sztandar biały, gdzie na tle amarantu rozpościerał dumnie skrzydła, srebrnopióry orzeł; zanim postępowały czerwone i błękitne sztandary kościelne; potem grono młodych panien i dziewczątek, których białe suknie, przepasane przez ramię czarną wstęgą, oznaczały żałobę. Każda z nich miała w ręku wieniec z zieleni lub kwiecia z szarfą narodową lub żałobną: dalej szedł kapłan w komży z cierniową koroną w ręku; a za nim różnobarwne fale ludu.

Były tam szare siermięgi wieśniaków, suto szamerowane czarno, czerwono lub niebiesko, — ciemno-granatowe kapoty mieszczan, lśniące kolorami tęczy stroje wieśniaczek i mieszczek, a białe „chłopki" pierwszych i czepki związane kolorowemi wstążkami drugich lśniły białością lilij, na ogólnem ciemnem tle tłumu, wśród którego spostrzedz można było czarne ubrania „panów" i „panie" w grubej żałobie.

Fale ludu płynęły zwolna, poważnie, napełniając przestwór tą bezbrzeżną skargą — modlitwą:

Rok po roku marnie leci,
„My w niewoli, my w niewoli!"

W połowie drogi, wysadzanej lipami i białą topolą, pod jedną z odwiecznych lip, ustawiono ambonę z białej brzozy, dokoła niej po obu stronach drogi lud rozlał się szeroką falą.

Cisza zaległa, gdy kapłan ukazał się na ambonie. W słowach krótkich, zwięzłych, jasnych, zastosowanych do pojęć

większości słuchaczy, przedstawił życie i czyny wielkiego Naczelnika-bohatera i kończył temi słowy:

„On porzucił dostojeństwa, honory, zaszczyty, jakie mu ofiarowano u obcych, aby oddać życie swoje za Ojczyznę, którą nad wszystko umiłował. Tu na tych polach krew jego się polała, a ten kopiec, usypany naszemi rękoma, który dziś święcimy, wznosi się w tem samem miejscu, gdzie nasz Naczelnik ranny spadł z konia, i przez Moskali wzięty był do niewoli.

A więc najmilsi, bierzmy z niego przykład. On nas nauczył, że wszyscy powinni za broń chwycić, aby stuletniego wroga zgnieść, zdławić! Bądźmyż gotowi w każdej chwili oddać swe życie za tę naszą Matkę Ziemię! Tam w Warszawie Moskale strzelali do naszych, krew się polała! Co dalej będzie nie wiadomo. Najmilsi! naszym obowiązkiem piersiami naszemi bronić Ojczyzny, oddać za nią mienie i życie swoje!...

A wiecie wy, co to jest Ojczyzna? Ojczyzna — to ta ziemia, po której od dziecka stąpamy, — która nas żywi, — w którą wsiąkło tyle łez — tyle krwi ojców naszych, — w której kości ich spoczywają, a i nasze, jeśli Bóg pozwoli — spoczną. Ojczyzna, — to te pola, te łąki, te lasy, — to niebo, które nas otacza, — to powietrze, którem oddychamy...

Sto lat dobiega, jak wróg wlazł nam na kark, sto lat, jak jesteśmy w niewoli! — lecz pamiętajcie, że nie odzyskamy wolności, jeśli wszyscy, wielcy i mali, bogaci i ubodzy, nie chwycimy za oręż! — Wszyscy, bez wyjątku! — a wtedy Bóg nam pobłogosławi — bo pamiętajcie, że ten, kto mówi, iż kocha Boga, a nie kocha Ojczyzny — ten kłamie!...

Okiem ducha widzę ciężkie, czarne chmury, zbierające się nad nami, słyszę groźny huk dalekich grzmotów, wkrótce może rozszaleje burza nad nieszczęsną Polską! — Najmilsi! czeka nas droga pełna cierni, łez, krwi i bólu, a więc na tę drogę błogosławię was!..."

I wzniesiona ręka kapłana nakreśliła cierniową koroną znak krzyża, nad pochylonemi głowami tysięcy ludu. — Cisza — cisza grobowa zaległa dokoła, przerywał ją tylko szelest pochylających się sztandarów, stłumione łkanie, wyrywające się z niektórych piersi i szmer purpurowych liści, które, jak łzy krwawe, padały na głowy zebranych...

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy procesja stanęła u stóp kopca. Niestety, nie wszyscy mogli się zbliżyć, gdyż kopiec z trzech stron otaczała olszynka, rosnąca na trzęsawiskach.

Kapłan odmówił stosowne modły, pokropił mogiłę i złożył na niej koronę cierniową, za nim złożyły swe wieńce młode

dziewczęta, sztandary powiały, oddając hołd najwierniejszemu Synowi Ojczyzny. Kapłan ukląkł i zaintonował ten wzniosły, do głębi wzruszający duszę każdego, hymn:

„Święty Boże! — Święty mocny! — Święty a nieśmiertelny! — Zmiłuj się nad nami!"

Wszyscy padli na kolana, sztandary pochyliły się jeszcze niżej, pieśń nabożna leciała ku niebiosom, gdzie na zachodzie paliły się wszystkie kolory tęczy, złociły — srebrzyły okoliczne pola, łąki i lasy, przesiewały się przez złoto-purpurowe liście olszynki, rzucając blaski i cienie na ten rozmodlony lud, który kornie schylony błagał:

„O Jezu! Jezu! Jezu! — zmiłuj się nad nami!"

Pieśń umilkła, głęboka cisza zaległa, lecz wkrótce buchnęła ku niebu straszna skarga:

„A gdzież ten ojciec, a gdzież ten Bóg?"

Powietrze napełniło się skargą, jękiem i łkaniem, wraz z ludem łkały drzewa, pola, łąki i okoliczne lasy, łkała cała przyroda. Na zachodzie złote blaski gasły powolnie, zamieniając się w ton ołowiano-czarny, jak dola tej nieszczęsnej krainy! — A z tysiącznych piersi, jak huragan, to wybuchła grzmotem, to cichła, to błagała, to znów grzmiała pieśń straszna, aż w końcu zabrzmiała tryumfem:

„I z Archaniołem Twoim na czele
Pójdziemy wszyscy na wielki bój
I na drgającem szatana ciele
Zatkniemy sztandar zwycięski Twój!"

Pusto dokoła, gwiazdy migocą na szarym horyzoncie, koronkowe mgły otuliły kopiec Kościuszki i przyległą olszynkę, wiją się, snują, tworząc fantastyczne cienie, coś jak rycerzy idących do boju... a szmery dziwne drgają w powietrzu, jakby dalekie echa szeptały:

„Pójdziemy... wszyscy... na wielki.... bój"...

Po okolicznych dworach, po domkach mieszczan, po wieśniaczych chatach długo tej nocy gwarzno... Na czołach starszych osiadła troska, z przebłyskami nadziei, w oczach młodych zapalała się chęć czynu i krwawego odwetu...

. . . .

W kilka dni potem wśród ciemnej nocy, siepacze cara otoczyli plebanję w Maciejowicach, uwożąc księdza Burzyńskiego do warszawskiej cytadeli.

J. Anc.

BOHATER.

Noc zbliża się ku końcowi. Wschodnia część horyzontu zaczyna jakby zmieniać swoją barwę na jaśniejszą, jednakże nie widać tego wyraźnie.

To dopiero przedświt.

Powiew chłodnego wiatru, zakołysał gałęziami drzew, płosząc z nocnego snu ptactwo leśne. Z przeraźliwym krzykiem zerwało się stado gawronów, przenosząc swoje tajemnicze postacie na inne miejsce. Z głębi lasu echo przyniosło głos spóźnionego puszczyka, który, przed snem zapewne, zaciągnął swoje długie i przygnębiające = **puuuć, puuuć...**

Nad horyzontem już jaśniej.

Ranny wiaterek wzmógł się. Drzewa rozpoczęły między sobą głośny rohowor, jakby chcąc przebudzić ze snu wszystko żyjące.

Skoro tylko pierwsze promienie jutrzenki nadały światu wyraźną jasność, można było zauważyć, jak drzewa oddawały sobie nawzajem ukłony, kiwając z powagą swoją puszystą szatą liścianą. Sosny rozpoczęły rozmawiać między sobą, właściwym swoim głosem: przeciągłym i huczącym w przestworzu. Płacząca brzoza, widocznie dotkliwie czemś przygnębiona, opuściła nadół swoje długie gałązki, robiąc tem minę zupełnie zrezygnowanej. Oto wiekowy dąb szumnie przemówił swoim sztywnym liściem. Widocznie palnął silny kompliment, pod adresem obok stojącej młodej osiki, jakby ją chciał powitać z konceptem, bo ta aż zachichotała szelestem swych, trzęsących się wiecznie, listków.

Cała natura z radością witała nadchodzący poranek, życie dzienne.

Ukryte w gąszczu drzew ptaszyny, zanosiły się w swym śpiewie, zmieniając naprzemian harmonję głosów odpowiedniemi tonami i trelami.

Hoża wiewiórka, rada ze swego puszystego ogonka, „myrgała" nim na wszystkie strony, rzucając swoje lekkie i zwinne ciałko z gałązki na gałązkę.

Już zupełnie jasno. Za chwilę wypełznie z za horyzontu ozdoba letnego dnia — złote słonko.

W całej naturze zawrzało tętno życia. Począwszy od najmniejszej pszczółki, a skończywszy na wiekopomnych dębach, wszystko wydawało z siebie jakieś głosy, dawało znak życia.

Wśród tak rozkosznego poranku letniego, siedział na zmurszałym pniu, na skraju lasu, kapral Bąk, rozmyślając coś w swej łepetynie.

Obok niego, na puszystej, mchem podszytej murawie, spał snem błogosławionych jego przyjaciel.

Wzrok kaprala błądził po przeciwnym brzegu rzeki, odległej o kilkaset metrów od lasu, jakby starał się czegoś dopatrzeć.

Kapral obserwował, kamrat zaś jego pochrapywał sobie na różne melodje i w najrozmaitszych tonacjach.

Wreszcie noga kaprala z taką energją dotknęła pleców śpiącego, iż ten w jednej sekundzie zerwał się na równe nogi, pytając zupełnie przytomnie:

„Co, bolszewicy?"

„Djabła ci bolszewicy", odparł kapral Bąk: „całą noc człowiek zmarnował napróżno Żeby choć jedna małpa pokazała się..."

„Czegoś więc mnie tak huknął?"

„A pocóż masz gnić do południa, żebyś siły strawił? Mam wrażenie, że po tej parodniowej ciszy, zrobi się ruch w interesie. Kto wie, czy to nie dziś się zacznie".

„A niech się zacznie", dodał „śpioszek", z którego odznak poznajemy sierżanta, a z buzi Kamińskiego.

„Słuchaj, Kamiński, czy tobie nie chce się jeść?"

„Nawet bardzo".

„I mnie także".

„Zjadłoby się coś", mówił sam do siebie Kamiński: „ale niema nic takiego pod ręką, coby można było do twarzy włożyć".

Kapral Bąk jakby sobie coś przypomniał. Wsunął rękę do kieszeni i wyjął z niej małą skórkę zeschłego chleba czarnego.

„Przetrzymałeś całą noc w kieszeni kawał „koksu", przecież byłeś głodny. Ja spałem, więc nie czułem głodu".

„Zapomniałem na śmierć, że po kolacji wsunąłem do kieszeni niedojedzony chleb".

Podzieliwszy się skórką czarnego, suchego chleba, nasi wywiadowcy dokończyli śniadania.

Zatrzymamy się trochę nad ich osobami.

Kapral Bąk, syn robotnika, zaledwie umiejący czytać i pisać, był dzielnym żołnierzem, ubóstwianym wprost, jako niezrównana odwaga, przez cały pułk. Gdzie chodziło o najtrudniejszy wywiad lub zażegnanie niebezpiecznej sytuacji, wszędzie „na ochotnika" wychodził — kapral Bąk. Pomimo uczuciach, beznteresownym, kochającym kraj i cały naród, braku oświaty i inteligencji, był człowiekiem o wzniosłych uczuciach, bezinteresownym, kochającym kraj i naród, a już nadewszystko wiarusów pułkowych.

Drugą i nierozdzielną częścią jego człowieczeństwa był sierżant Kamiński, syn adwokata, człowiek inteligentny i wykształcony. Kamiński dla Bąka był przyjacielem i profesorem. W wolnych chwilach opowiadał mu różne historje z zakresu nauki wogóle. Kapral Bąk pochłaniał wprost wszelkie wiadomości naukowe, a miał tak dobrą pamięć, że co raz usłyszał, zapamiętał na zawsze. Jak jeden, tak drugi nie mieli specjalnego przydziału kompanijnego. Bąk był przy sztabie pułku, do wyłącznej dyspozycji dowódcy pułku.

Bohaterskie ich czyny znała już cała brać pułkowa i wszyscy oficerowie. Nic więc dziwnego, że zwolniono ich od systematycznych funkcyj służbowych.

W wolnych chwilach zajęci byli tylko sobą i nauką. Kamiński pisał pamiętniki, zdobiąc je nastrojowemi wierszykami, Bąk czytywał książki, studjował mapy i plany. Sam nawet próbował szkicować plany sytuacyjne, promieniejąc z radości, kiedy mu kamrat mówił:

„Dobry, zupełnie dobry plan. Tutaj ten oto wiatrak, tu krzaki, rzeka... tak, zupełnie dobrze". Kiedy pułk był na froncie, obaj przyjaciele grasowali pod okopami nieprzyjaciela, badając jego tereny, sytuacje, wyszukując największe tajemnice i t. p.

Wywiady ich niejednokrotnie przyczyniły się do zwycięstwa pułku, nic więc dziwnego, że dowódca pułku przesłał raport o nadanie im krzyża „Virtuti Militari"; „Walecznych" już nosili na swych piersiach.

„Wiesz co", przemówił Kamiński, przełknąwszy ostatni kąsek chleba: „pójdę do rzeki napić się. Jeśli chcesz, to przyniosę ci w czapce wody?".

„No to syp, tylko chyłkiem, bo za tamtą górką, z drugiej strony rzeczki, mogą być czubarycy".

Pełzając na brzuchu, dotarł sierżant Kamiński do rzeczki, parę metrów szerokiej. Przyłożył spragnione wargi do

powierzchni wody. Pił, zabijając gorączkę z nocy. Z za góry ukazało się kilka głów bolszewickich.

Kapral Bąk dostrzegł to, chciał coś krzyknąć, lecz było za późno, wszystko trwało parę sekund. Kilkunastu drabów bolszewickich ukazało się na górze. Posypały się granaty ręczne.

Trzask rozrywanego żelaza jęczał w powietrzu. Sierżant Kamiński legł trupem o parę metrów od brzegu rzeczki, pokancerowany w najokropniejszy sposób.

Kapral Bąk po raz pierwszy w życiu, a tem bardziej podczas służby wojskowej, nie umiał zapanować nad sobą. Momentalnie zrozumiał wszystko, wiedział że Kamiński nie żyje. Jakimś nieludzkim głosem krzyknął: „Jezus, Marja!"

W pierwszym momencie chciał biedz do kolegi, lecz zrozumiał, że nic nie poradzi, a sam zginie, nie pomściwszy śmierci druha. Zsunął się na kolana, ukrył za pniem, przyłożył karabin do wprawnego oka i strzelił.

Jeden z morderców upadł i tocząc się po spadzie góry, legł tuż nad drugim brzegiem rzeczki.

Nieprzyjaciel rozpoczął ostry ogień. Kapral Bąk pracował jak automat, nie myśląc o niczem, jak tylko o celnym strzale.

Rozpoczęta kanonada wywołała z okopów naszych oficerów, którzy wiedzieli o posterunku Bąka i Kamińskiego. Za kilka minut paru oficerów z małym oddziałem żołnierzy podeszło chyłkiem do Bąka. Wysoki porucznik siłą zmusił kaprala do przerwania strzelaniny, aby mu coś powiedzieć.

Pnie drzew i krzaki doskonale maskowały ich. Byli bezpieczni. Nieprzyjaciel strzelał na ślepo.

„Kapralu, aby zmylić czujność wroga, dostaliśmy rozkaz rozpoczęcia sztucznej strzelaniny z naszej placówki. Rozpoczęliście strzelaninę w dobrym momencie".

Porucznik i jego koledzy zauważyli w oczach Bąka dwie duże, czyste jak kryształ łzy.

„Co wam jest, kapralu, gdzie Kamiński?"

„Ziemię gryzie, niech mu smaczną będzie. Trzymajcie mnie, bo pójdę do tamtych choler i kiszki im bagnetem powypuszczam, niech mnie psie krwie zabiją! Kamińsiu mój kochany, Kamińsiu...

Kapral zaniósł się w płaczu, niby dziecię, któremu największą krzywdę wyrządzono.

„Zabity Kamiński?"

„Zabity, zabity i mnie niech zabiją, albo ja im wszystkim łby poukręcam. Nie wytrzymam".

Zerwał się na równe nogi. Chciał biedz w stronę wroga. Przytrzymano go. Całem jestestwem kaprala opanował szał, obłęd.

Nagle rozległ się wstrząsający grzmot artylerji nieprzyjacielskiej. Kapral Bąk oprzytomniał, zwracając się do wysokiego porucznika rzekł:

„Mówiłem Kamińskiemu, że będzie dzisiaj ciepło; sprawdzają się słowa.

Kanonada artylerji zagłuszyła wszystko.

*

Wojska polskie minęły wąski strumyk. Kapral Bąk ucałował po drodze ciało serdecznego kolegi. Szeptał Kamińskiemu do ucha:

„Poczekaj, braciszku, tylko skończę robotę z czerwoną gwardją, wrócę do Ciebie. Pochowam Twoje ciałko... usypię mogiłkę... pokryję darniną, poczekaj, braciszku...

„Naprzód", słychać komendę pułkownika.

„Kapral Bąk, żywo do mnie!"

Bąk obejrzał się, to pułkownik wzywa go.

Zakrwawiony krwią przyjaciela podbiega do pułkownika.

„Kapralu trzymajcie się obok mnie".

„Rozkaz!"

Posuwają się naprzód. Uszli kilometr.

W powietrzu wre, huczy. Grzmot strzałów armatnich, trzask karabinów maszynowych, łoskot salw karabinowych, rozrywanych szrapneli, jęki konających, zlewają się w nieznośną kakofonję ryków, których melodje i strach znane są tym tylko, którzy legli w atakach.

Nasi zajęli prawy brzeg rzeki.

„Kapralu, co to", pyta pułkownik: „idą do ataku?"

„Tak jest, panie pułkowniku".

Około osoby pułkownika uwijają się oficerowie łącznikowi. Rozkazy. Wypełnienia. Znów rozkazy. Błyski szabel.

Na stromym brzegu rzeki ustawiono karabin maszynowy. Wróg zbliża się. Maszynka pracuje.

Kapral Bąk obok pułkownika: obserwują przebieg walki.

„Oj!" krzyknął pułkownik.

Kulka karabinowa zadrasnęła skroń pułkownikowi, strumień purpurowej krwi zrosił mu rzęsiście prawy policzek, spływając na mundur. Przy karabinie maszynowym coraz więcej trupów.

„Kapralu, przy maszynie już ostatni, może i on...“

W tym czasie legł „ostatni" przy karabinie maszynowym. Karabin zamilkł.

Pułkownik wydał okrzyk:

„Kapralu!"kula ugodziła go w piersi. Dowództwo objął adjutant.

Kapral nie czekał długo na rozkaz pułkownika. Wykrzyknik „Kapralu" powiedział wszystko. Kapral już przy maszynie. Założył świeżą wstążkę i z całą wprawą puścił maszynę w ruch.

Wróg, korzystając z chwilowej przerwy ognia maszynowego, podszedł już znacznie bliżej. Kapral rozkoszował się strzelaniną. „A macie, cholery piekielne, macie, dobrze wam, to za Kamińskiego. Co skaczecie do góry? za nizko? Dobrze, macie wyżej, po brzuszkach, akurat, co, już siadacie? A chodźcie że bliżej, nie bójcie się. O tak, oto to, macie, macie za wszystkich, macie za Kamińskiego!" Tak sobie dodawał werwy kapral Bąk, zmieniając szybko magazyny i świetnie celując do wroga.

„Co, nogi za pas? a po co? Chodźcie do nas, dosyć macie? No to poczekajcie: na odchodne po plecach".

Maszyna warczy, kapral Bąk zajęty, ani dostrzegł, że mu kula przebiła lewe ramię, że mu z policzka krew płynie, nic nie czuł, poza maszyną w swoich rękach.

Wtem rozległ się ochrypły trzask. Tuż nad głową kaprala rozerwał się szrapnel. Odłamek ugodził go w lewą nogę.

„Jezus, Marja", chyba pójdę za Kamińskim. Co, wracają się? Oj, noga, noga. Oj!" znowu kula ugodziła kaprala w prawy bok. Przestał strzelać.

Odłamek żelaza zgruchotał mu doszczętnie kość, poniżej kolana.

„Ledwo dynda biedna gicała", litował się sam nad sobą kapral Bąk. Wróg wznawiał atak.

Znowu maszynka gra. Kapral Bąk zapomniał o ranach.

„A macie, mało wam? macie, macie!"

Dodając sobie otuchy strzelał bez wytchnienia. Magazynem pokaleczył sobie ręce. Cały broczył krwią. Nie ustępował. Rozumiał dobrze, że ogniem swym osłania swych kolegów. Zwycięstwo. Kaprala Bąka znaleziono przy maszynie w agonji, z rękoma konwulsyjnie zaciśniętemi na patrontaszu maszynowym.

Oprzytomniał dopiero w szpitalu. Był już bez nogi.

Niczego nie żałował: Co mu tam noga? wszak to dla Narodu i Ojczyzny. Żałował tylko tego, że Kamińskiego nie mógł pochować, usypać mu nie mógł mogiłki. Za kilka tygodni siwy jenerał udekorował pierś kaprala Bąka krzyżem „Virtuti Militari".

Wyszedł ze szpitala.

Co dalej słychać z bohaterem? Gdzie bohater?

Bohater, ten pełen zasług kapral Bąk błądzi po ulicach stolicy, wyciągając rękę, prosząc łaskawego chleba... i rozmyślając o przyjaciołach niedoli, którzy spoczęli w nieznanych mogiłach.

Władysław Bogdanowicz.

RADY ZDROWOTNE.

(Łatwe do spamiętania dla starych i młodych).

Nie żywić się jednym rodzajem pożywienia — bez zmiany: rozmaitość tu potrzebna, jak we wszystkiem — w życiu całem.

*

Trzymaj się prosto i patrz przed siebie: przed sobą świat masz cały, nie na ziemi w pyle — pod nogami.

*

Strzeż i szczędź oczu: jedną ich masz parę na życie całe!

*

Najlepszą gimnastyką jest praca — jeno w warunkach zdrowotnych.

*

Wśród pracy — odpocznij, gdy potrzeba; odpocznij, choćby tej pracy — nie wiadomo wiele było, odpocznij, choćbyś — nie wiem jak się śpieszył; gdy nie będziesz dawał ciału odpoczynku — będziesz miał wnet odpoczywanie — wieczne.

*

Lepszą jest lecznicza inspekcja i sanitarna desinfekcja, aniżeli rychła dyssekcja po — infekcji...



OJCZE NASZ.

Wschodzącej wiosny witając zorzę,
Błagamy Ciebie:
Racz spojrzeć na nas, Ojcze i Boże,
Któryś jest w niebie!
Na wypalone łzami powieki,
Spuść łaski zdroje,
Święć się, o Panie, na wieków wieki,
Święć Imię Twoje!
Obdarz nas hojnie dary świętemi,
Ku Twojej chwale,
Przyjdź Twe królestwo, na smętnej ziemi
Zarządzaj stale!
Czy zła przygoda spotka nas w drodze,
Czy błyśnie dola:
W niebie, na ziemi — w smutku i w trwodze
Bądź Twoja wola!
Ty w miłosierdziu Twem nieskończonem,
Spuść rosę z nieba,
Niech Twym oraczom w pracy złaknionym,
Nie braknie chleba!
Odpuść nam grzechy, Zbawco jedyny,
My je wyznajem!
Oświeć nam serca, — jak bratnie winy
Odpuścić wzajem.
A gdy pokusa zwikła nam w pęta
Ducha słabego,
O! niech nas Twoja moc niepojęta,
Zbawi od złego!

Seweryna Duchińska.

Na Wielkomiejskim Targu Nędzy*).

(Opowiadanie pracownika Amerykańskiego „Czerwonego Krzyża“).

Historja w przeważającej części szczegółów — prawdziwa! Słyszeliśmy o tem, a potem dowiadywaliśmy się, czy to możliwe jest, ażeby dziś w miljonowem środowisku człowieczem — przebogatem — działy się rzeczy podobne i przekonaliśmy się, że niestety są one i prawdopodobne i najzupełniej prawdziwe, a przykładów ich masz — co niemiara — co dnia prawie.

Szedł biedak, włóczęga, obdartus — ot typ ulicznego motłochu, jeden z tych, jakich po wielkich miastach, po ich norach i zaułkach naliczysz — dziesiątki, może setki tysięcy. Właściwie — nie całkiem on i nie zawsze pewnie był obdartusem i włóczęgą, bo z pod obszarpanej odzieży uwydatniały się ruchy ciała jakby wytworniejsze, nie całkiem zaniedbane, a twarz choć wynędzniała, miała pozór — nawet inteligentny... Niósł zawiniątko. Za nim wlókł się pies, nędzny, jak jego pan i równie jak on — samo nieszczęście obnoszący z sobą po świecie, zimnym i obcym.

Nędzarz przystanął przed policjantem i prosił, aby go — aresztować...

„Poszedł het — warjat!“ — huknął na niego spasiony, niekontent z zakłóconego trawienia, 200 funtowy protektor prawa i porządku z narożnika; spojrzał wzgardliwie na kandydata do jazdy patrolką**), kopnął psa jego, splunął, ziewnął i tyłem się odwrócił.

---

*) W Ameryce po Wielkiej Wojnie namnożyło się — jak wszędzie — weteranów — inwalidów — kaleków, z których wielu znalazło się z różnych przyczyn — w opłakanych stosunkach; „Czerwony Krzyż“ zbierał tych biedaków po olbrzymich miast amerykańskich zaułkach, dawał im przytułek i opatrzenie, z których to świadczeń czerwonokrzyskich nie rzadko korzystali także i nie ex-wojskowi biedacy; zanim jednak „Czerwony Krzyż“ postarał się o owe schroniska, przytułek znaleźć mogli nieszczęśliwcy chyba — ot w celi więziennej, jak było właśnie w niżej opisanem wydarzeniu — autentycznem.

** patrolka = wóz policyjny.

A biedak powlókł się dalej. Gdzieś — za drugim, czy trzecim narożnikiem — stanął znowu przed policjantem i znów pokornie prosił o aresztowanie. Tym razem trafił widocznie na krotochwilnego jakiegoś „pająka" — bo ów wdał się z nim w gawędę:

— Naprawdę? nic więcej? Tylko aresztować cię, kajdaniarzu?

— Jeśli łaska.

— A pocóż to? Na taki honor trzeba racji — nic bez przyczyny! — dodał filozoficznie.

— Ja i tak jestem kryminalista, złoczyńca, złodziej, zabójca — wszystko, co chcecie, tylko aresztujcie mnie.

— Ba, ja tak samo mógłbym powiedzieć, że jestem negusem Abissynji, albo nieboszczykiem carem rosyjskim — odparł polik.

— Ależ ja na serjo chcę iść do kozy.

— Chcę — to nie dosyć, trzeba się zasłużyć, trzeba coś zmalować, bratku, by się dostać za kratki.

— Zmalowałem niejedno.

— Toś i pewnie swoje odsiedział. Jeszczem też nie widział, aby się ktoś tak napraszał z powrotem do dziury. A czegóż ty bratku taki „zamiłowąny" w kreminale?

— At... spocząć chciałbym — chorym jest.

— Ba, koza — nie willegiatura, ani sanatorjum. Idź z Bogiem, bracie...

I policjant poszedł w swoją stronę, a nasz biedak z psem i zawiniątkiem pozostał na wichrze. Deszcz właśnie zacinać poczynał coraz lepszy i przemakał do nitki skąpe, starte szmaty włóczęgi. Pies wkulił ogon pod wygłodzony brzuch i zgiąwszy, jakby połamane, łapy tylne, trwał cicho, by zatopiony w kontemplacji...

Trochę widział tę grupę, trochę słyszał streszczoną wyżej rozmowę — przechodzący właśnie tamtędy reporter. Zainteresowany przystanął, popatrzył bliżej, słówko zagadnął, a wietrząc pewnie „kawałek" dla siebie i ze sto wierszy po tyle a tyle, zabrał obdartego a drżącego z chłodu i wilgoci obywatela z psem jego i tłomokiem do redakcji wielkiego dziennika.

I — oto, co tam usłyszał z ust amatora bezpłatnego wiktu i dachu — za kratkami:

Niestary był jeszcze. Przed paru laty — powinęła mu się noga; zbłądził; odsiedział karę; chciał wrócić na dobrą drogę — ale poczciwych, szlachetnych krewnych zamożnych — zbieranina hipokrycka odepchnęła go od siebie — wyparli się „wyrzutka"! Był im niepożądany — niewygodny — zawadzał.

Szukał pracy, ale nieszczęście szło za nim, nie odstępowało go, jak — ot, jak ten pies, co się doń — od dni paru przyczepił i by jego nędzy zmora — nieodłącznie idzie za nim, wdzięczny, iż go spotkanego w zaułku przygarnął i posilił: resztką swej strawy, podzielił się, jak z bratem-nędzarzem — on wywołaniec człowieczy z wyrzutkiem psiego pospołu...

Zmienić pragnął miejsce pobytu; nie miał pieniędzy — poszedł pieszo, o chłodzie i głodzie... Zdrowie zawsze miał wątłe — we więzieniu i w tej wędrówce stargało mu się do reszty — ma gruźlicę, to nie przesada, rozumie się na tem; — zresztą jest zupełnie zrezygnowany: skończyć — im prędzej, tem lepiej — odpocznie; spoczynku pragnie ponad wszystko!...

Zajmowały się nim instytucje dobroczynne, lecz — jako „karany", a chory nieuleczalnie, albo mało znajdował sympatji, albo mało szans zatrzymania na stałe: — wszędzie był ciężarem, przykrym i wstrętnym...

Taki los! Podawały go sobie „dobroczynności" z ręki do ręki, rzucano nim z „kół", „sekcyj", „towarzystw" — jednych do drugich, a zawsze się kończyło na wyrzuceniu go na bruk — bez grosza, bez dachu, bez chleba. Wieleż to razy! Wiele tego!...

Jesieni zeszłej chciał do armji, ot — aby się gdzieś zawiesić, uczepić, aby mieć kąt i przytułek — on, bez rodziny, co się go wyrzekła, chciał mieć — choć obóz — rodziną, ale lekarz posłuchał jego płuc rzężenia, poklepał go po ramieniu, pokiwał głową i kazał mu zabierać się na południe... Jemu! Jak przemęczył zimę wilgotną i chłodną — już tego sam opowiedzieć nie zdoła... Dość, że przetrzymał, lecz czuje, iż mu się już niedługo — niedużo należy... Chciałby gdzieś odpocząć, zatrzymać się, ostać, osiąść, a tu go wciąż pędzą dalej i dalej. Wspomniał, gdzie mu było najlepiej — najzaciszniej, najspokojniej, najcieplej, gdzie nie miał ni potrzeb, ni pragnień... Za kratą! Tam, tam powrócić! To jedyny przytułek dla niego! Postanowił koniecznie zostać aresztowanym.

Onegdaj dostał skądeś groszy parę, zdecydował upić się; nie starczyło, więc udał resztę — wziął „taxi" i kazał się zawieźć gdzieniebądź; — nie zapłacił; myślał, iż motorowy go zaaresztuje; gdzietam! Spojrzał nań i powiedział mu, że jemu karawan się należy, nie automobil do parady. I dał mu pokój, a on znowu na bruku pozostał. Więc poszedł na stację kolejową i wszczął tam awanturę, lecz dozorcy, widocznie litując się nad nim, wyprowadzili go z budynku — miast zawołać patrolki. Zatem wybił szybę jakiegoś składu: nie uciekał, czekał: teraz muszą przecie! I nareszcie aresztowali go, lecz patrolka, gdy go zawiozła na stację, gdy zbadano go tam i przekonano się, że

ledwie na nogach stać może, wypuścili go znowu — z litości, wtedy, gdy dlań litości i miłosierdzia objawem najpożądańszym było upragnione zatrzymanie go pod dachem i łaska spocznienia.

Reporter słuchał, namyślał się, potem gdzieś telefonował, wreszcie razem pojechali automobilem na najbliższą stację policyjną. No — i tym razem — zatrzymali biedaka w celi na specjalne wstawiennictwo pana „od prasy", który tam widać stosunki mieć musiał i protekcję. Nazajutrz sędzia przekazał włóczęgę do szpitala więziennego, do oddziału dla suchotniczych, z poleceniem zatrzymania go tam — aż do... no, jak długo będzie potrzeba...

„Najkomiczniejszem" było ze wszystkiego, że gdy dobrowolnego więźnia-suchotnika ze stacji zabierał policjant do celi, gdy ów już zniknął w głębi mrocznej izby, jego pies — towarzysz, co szedł za nim, jak nędzy jego zmora, rzucił się za przygodnym panem ze szczekiem i skamlotem... Chcieli go zatrzymać — nie dało się. Aż „pan" ów z zaułka objaśnił, że pies się doń tak przyzwyczaił i widocznie także niema nikogo na świecie, pewnie więc też — chce być — aresztowany... No i psisko również wpuszczono choć tymczasowo do celi „aresztowanego", a gdy ów nazajutrz do szpitala odjechał, psa zatrzymano na stacji... Może go tam jeszcze mają...

„Am. Red Cross".

TOWARZYSTWO OLEUM

OLEUM

w WARSZAWIE

ZARZĄD: MAZOWIECKA 7.

Telefon 141-56.

Poleca niedoścignionej jakości
Oleje samochodowe marki CAROIL, Tłuszcze do samochodów marki Carfat Olej nyłochłonny marki CZYSTOL w blaszankach 2, 5, 10 i 20 litrowych
Do nabycia we wszystkich oddziałach miejskich T-wa Oleum, Składach akcesorji samochodowych i Składach Aptecznych.

Zakłady ceramiczne „Wawrzyna"
ALEKSANDER KRONENBERG
pow. i poczta Radzymin Woj. Warszaw.
Cegła ręczna, maszynowa, dęta dachówka felcówka i karpiówka

MASZYNY DO SZYCIA
znane
Kasprzyckiego
Warszawa, Marszałkowska 153
Tel.: 104-51

SKŁAD APTECZNY
Raul Szafir
prow. farm.
Warszawa, Ś-to Krzyska 35.
Telefon 32-74.

Pracownia wykwintnego obuwia
„Edouard"
WARSZAWA VARSOVIE
ul. Moniuszki № 6.

Najkorzystniej ubiera się każdy w Firmie

DOM KONFEKCYJNY

Magazyn bławatów, konfekcji damskiej i męskiej oraz artykułów męskich.

TORUŃ TEL. 132 SZEROKA 33

Odpowiedzialny Redaktor: Dr. KAROL WACHTL.